

PRZESWIT

○ ECCE ECCLESIA

○ ROZMOWA Z
JERZYM KROPIWNICKIM

Peter Bender
○ W UŚCISKU
SUPERMOCARSTW

ŁÓDŹ

ROK V

LATO 1987

45

WIELOKĄT

W WIELOKĄCIE staramy się prezentować różnorodne stanowiska i punkty widzenia na sprawy, które naszym zdaniem zasługują na baczniejszą uwagę. Oświetlać pragniemy tematy tabu, odsłaniać zagadnienia niepopularne, przykre czy wręcz bolesne. Czynimy to bez ambicji wyczerpującego opisanego rzeczywistości, ale w nadziei rozszerzenia refleks na zaniedbane, a istotne, obszary, a także w intencji dezawuowania pokutujących w naszej świadomości jałowych stereotypów.

Redakcja

ECCE ECCLESIA

Zamysł podjęcia tego tematu w WIELOKĄCIE rodził się w okresie Wielkiego Postu, a więc w czasie zbożnego sceptycyzmu; przed wizytą Ojca Świętego, a więc w odczuciu uczestniczenia we wspólnotcie Kościoła powszechnego; w oczekiwaniu na rzymski synod biskupów, a zatem w przekonaniu o istotnej potrzebie braterskiej wspólnoty świeckich i duchowieństwa. Dlatego też dalecy od tryumfalizmu i karnawalowej niefrasobliwości, wolni także od nadmiernej troski o odświętny wyraz naszego stanu ducha - podejmujemy próbę skupienia naszych myśli na sprawach nam bliskich, chociaż gorzkich.

Zamierzaliśmy poruszyć trzy grupy zagadnień:

1. Jakie postawy i zjawiska w Kościele wywołują szczególny niepokój i troskę? Czy i jak im przeciwdziałać?
 2. Czy - w odpowiedzi na te troski i niepokoje - wyłania się potrzeba rozbudzania oczyszczającego, twórczego i braterskiego dialogu wokół żywotnych spraw Kościoła?
 3. Miejsce świeckich w Kościele - rzeczywistość, postulaty.
- Serdecznie dziękujemy wszystkim, którzy zechcieli podzielić się swoimi poglądami. Ufamy, że te przemyślenia przyjęte będą jako szczerzy głos w żywym i budującym dialogu wiernych naszego Kościoła.

W DUCHU I W PRAWDZIE

Pytanie o to, jaki powinien być Kościół w otaczającym nas świecie hołdującym materializmowi i kłamstwu, nasuwa te słowa Jezusa wypowiedziane do Samarytanek: "Ale nadchodzi godzina i już nadeszła, że prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w duchu i w prawdzie. Bo i Ojciec takich szuka czcicieli. Duchem jest Bóg, a ci, którzy go czczą, winni Mu cześć oddawać w duchu i w prawdzie." /J.4, 23-24/

Mając tak oczywistą wskazówkę dotyczącą naszej postawy wewnętrznej jako ludzi wierzący winniśmy dążyć do tego by tak żyć. Tymczasem postawa wielu ludzi wierzących poddanych wielorakim uwarunkowaniom tego świata daleko odbiega od takiego ideału. Wielu żyje tak, jakby mieli na względzie jedynie ciało i jego potrzeby, podlega uwarunkowaniom w tym stopniu, że odnosi się wrażenie, iż nie istnieje dla nich żadna prawda jako wyznacznik ich zachowania. Dla tak postępujących nawet udział w życiu religijnym nie stanowi żadnego pozytywnego wyróżnika, gdyż wynika on po prostu z przyjętej obyczajowości, zgodnie z którą wypada pójść w niedzielę do kościoła, ochrzcić dziecko, posłać do pierwszej komunii św., wziąć ślub kościelny i mieć pogrzeb religijny. Innymi słowy odwrócić w prak-

tyce życia sens przysłowia głoszącego potrzebę "oddania Bogu świecy a diabłu ogarek". Obecnie oddaje się temu światu życie, a Bogu oddaje się ciało, które Kościół ma z należyтым szacunkiem pochować. Rozwijający się ceremonializm życia religijnego przy równoczesnym coraz większym zubożeniu wewnętrznym człowieka wierzącego to najbardziej niepokojące zjawisko naszych dni. Jakże często słyszy się w Kościele słowa: jak jest to możliwe, np. powszechny alkoholizm, masowe kradzieże, rozwody, przerywanie ciąży itp. w tak katolickim narodzie? A właśnie jest możliwe, bo jest to przeważnie tylko katolicyzm zewnętrzny, ceremonialny, wolny od zobowiązań moralnych wobec Boga i bliźniego swego.

Ta niepokojąca prawda dociera wolni do świadomości sterników tzw. kościoła powszechnego, czyli masowego. Fascynacja ilością ustępuje, a na jej miejsce przychodzi refleksja związana z jakością naszego życia religijnego, z pytaniem o to, na ile rzeczywiście czcimy Boga "w duchu i w prawdzie".

W bezpośredniej łączności z tą nową świadomością pozostaje zjawisko powstawania małych wspólnot religijnych, ruchu charyzmatycznego, grup odnowy liturgicznej i wspólnot modlitewnych. Być może stanie się to "znakiem odnowy" Kościoła zanadto zespolonego z tym światem nie tylko strukturalnie ale i duchowo.

Zauważalne zainteresowanie religiami. Wschodu, jogą, medytacją, itp. ukazuje odczuwaną potrzebę reorientacji religijnej w kierunku wzbogacenia życia wewnętrznego, dowartościowania roli jednostki-osoby gubiącej się w masie ludzkiej, dominującej także w Kościele. Dostrzeżona przez Sobór globalizacja zjawisk religijnych i podkreślona wartość moralno-religijna religii niechrześcijańskich będzie wywierała dodatni wpływ na kształtowanie się postaw ezoterycznych. Rozwój w tym kierunku będzie powodował przesunięcie akcentów w przeżywaniu tajemnicy Trójcy Świętej wysuwając na plan pierwszy Osobę Ducha Świętego. To zaś, w połączeniu z proklamowanym nastawieniem ekumenicznym, sprzyjać będzie otwartości światopoglądowej respektującej prawdy własnej wiary ale i świadomej tego, że grzech przeciwko Synowi Człowieczemu będzie wybaczony, natomiast nie będzie wybaczony grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Postawa taka broni nas przed faryzeizmem przedkładającym literę ponad ducha, szabat ponad Człowieka. Postępująca personalizacja życia religijnego skupiająca uwagę już nie na Kościele-instytucji, lecz na Człowieku-osobie wyznacza nowy horyzont przed współczesnym człowiekiem. Chodzi o dostrzeżenie tego zjawiska na poziomie parafii w celu przekształcenia jej z jednostki kościelno-administracyjnej w rzeczywistą wspólnotę moralno-religijną.

II

Sobór wprowadzając do liturgii języki narodowe nie tylko przyczynił się do wzmocnienia kościołów lokalnych przez pełniejsze włączenie wiernych w życie Kościoła. Dowartościował również znaczenie kultur narodowych, których te języki są przejawem. Ale decyzyja ta powoduje rozległe - i nie zawsze jeszcze jawne konsekwencje. Jedną z nich jest uświadomienie szerokim rzeszom wiernych zakorzenienie liturgii w kulturze narodu izraelskiego. Okoliczność, że współcześnie istnieje państwo Izrael, które na równi z innymi państwami i narodami jest uwikłane w najprzeróżniejsze problemy tego świata, łącznie z jego konfliktami politycznymi, zbrojnymi, powoduje, że wiele tekstów liturgicznych odnoszących się do Izraela traci swoją dotychczasową wymowę i staje się czymś w rodzaju tekstów propagandowych. Teksty te wypowiedziane dawniej po łacinie nie raziły tak, jak obecnie, kiedy rozumie się je i kiedy mają swój kon-

-tekst w postaci faktu politycznego - narodu i państwa Izrael. Tego rodzaju nowa sytuacja historyczna, jak się wydaje, nie znalazła dostatecznego odbicia w dokumentach sotorowych: w Konstytucji państwowej "O kościele w Świecie Współczesnym" oraz Deklaracji "O stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich". Wprawdzie w pierwszym z tych dokumentów została dobitnie podkreślona uniwersalistyczna więź Kościoła z całą ludzką wspólnotą i wszystkimi kulturami narodowymi, a w drugim, uznane wartości tkwiące w innych religiach: "Kościół katolicki nie odrzuca niezgo z tego, co w religiach innych prawdziwe jest i święte", ale zagadnienie Żydów i ich udział w nowym Ludzie Bożym, czyli Kościele Chrystusowym, łączy się zaś to w zagadnienie z odrzuceniem tzw. teorii bogobójstwa, która w minionych czasach ożywiła postawy i działania antysemitki. Uwolnienie Żydów od zbiorowej odpowiedzialności z a śmierć Chrystusa jest aktem doniosłym pod każdym względem, a nie tylko w sensie religijnym. Narody chrześcijańskie, a tym bardziej te wyznające religie własne, nie mogą jednak przejść do porządku nad takim ujęciem wzajemnej relacji z Żydami, w której Żydzi są "korzeniem dobrej oliwki, w którą wszczepione zostały gałązki dziczki oliwnej Narodów". Ujęcie takie bowiem podtrzymuje, szczególnie wśród Żydów, ale także i wśród wielu chrześcijan, przeświadczenie o nadrzędności narodu żydowskiego i jego kultury wobec innych narodów i kultur, często równie dojrzałych jak Izrael. W konsekwencji takiego stanowiska Kościoła obserwuje się w Polsce i chyba nie tylko w Polsce, z jednej strony - wzrost zainteresowania Kościołem, jako instytucją u samych Żydów oraz tych postaw antykościelnych i filosemitkich z drugiej zaś narastający dystans środowisk narodowych wobec postępującej judaizacji Kościoła jako ośrodka kulturotwórczego. Na dłuższą metę może doprowadzić to do odrodzenia się nastrojów antysemitkich już nie na podłożu czysto religijnym - zabójstwa Syna Bożego - lecz kulturowym. Zwiastunem takiej możliwości jest choćby teoria Feliksa Konecznego o wielości cywilizacji, wykazująca całkowitą odrębność cywilizacji żydowskiej od łacińskiej, właściwej narodom Europy. Rosnące zainteresowanie inteligencji polskiej tą tradycją myśli europejskiej i polskiej, zrazem nie może być nie zauważone przez Kościół przemawiający językami narodowymi, a więc w nowy sposób, o kreślający swój stosunek do kultur narodowych. To zaś rodzi także nowe relacje między różnymi członkami Ciąła Mistycznego, jakim jest Kościół Rzymsko-katolicki.

III

Świadomość współczesnego człowieka z kręgu kultury europejskiej dobrze oddaje zdanie Konstytucji o Kościele w Świecie Współczesnym: "Choć trzeba starannie odróżnić postęp ziemski od wzrostu Królestwa Chrystusowego, jednakże ma on wielkie znaczenie dla Królestwa Bożego, o ile może przyczynić się do lepszego uporządkowania społeczeństwa ludzkiego". W tej perspektywie formułowane są nie tylko różne nurty tzw. teologii wyzwolenia w Ameryce Łacińskiej ale i rozmaite opcje na rzecz współpracy Kościoła i katolików socjalistycznych z komunistami w organizowaniu przez nich procesie budowania "lepszego Jutra", w strefie tzw. realnego socjalizmu. Kościół wprawdzie odrzuca ateizm jako część składową światopoglądu państwa komunistycznego, ale równocześnie "wysnaje, że wiele skorzystają i skorzystać może z przeciwstawiania się mu jego przeciwników lub prześladowców". Historycznym faktem jest p o r o s u m i e n i e się Kościoła z komunizmem sprawującym władzę - i nawet udy

-wającym jej przeciwko Kościołowi i prawom ludzi wierzących. Powoduje to, że będąc w opozycji jest równocześnie siłą społeczną wspierającą reżim polityczny, którego legalność jest kwestionowana przez poważne odłamy społeczeństwa, nad którym panuje. Zajmując taką "dialektyczną" pozycję staje się terenem walki o wpływ zarówno sił opozycyjnych wobec komunizmu jak i różnych odłamów ideologicznych samego komunizmu. Kontrowersyjną obecność Kościoła, tzw. lewicy laickiej, zyczliwie wspieranej przez wpływowe ośrodki katolickie takie jak: "Tygodnik Powszechny", czy Kluby Inteligencji Katolickiej, korzystające z koncesji legalnego działania w warunkach totalnej delegalizacji wszelkiej innej niezależnej działalności, dostatecznie ilustruje wspomniane zjawisko. Procesy te dokonują się pod hasłem walki o tzw. kulturę niezależną. Ale w rzeczywistości nie bardzo wiadomo na czym owa "niezależność" ma polegać. Podobne obiekty, aczkolwiek w nieco innym aspekcie, można by wyrazić wobec organizowanych tzw. tygodni kultury chrześcijańskiej. Efekt tych wszystkich działań trafnie ujął w aforyzmie polemicznym Kisiel pisząc: "Nie wiem, jak ma nam pomóc Kościół. Na razie udaje mu się pomóc rządowi, nie udaje pomóc gospodarce." Problem jednak polega na tym, czy pomagając rządowi Kościół "może" przyczynić się do lepszego uporządkowania społeczeństwa ludzkiego w naszym kraju? Propagowany program walki z nękającymi nas plagami społecznymi wręcz zagrażającymi egzystencji narodu, jak dotychczas, nie sięga do korzeni społeczno-ekonomicznych tych zjawisk ograniczając się do tradycyjnego moralizatorstwa, tj. werbalnego potępienia tych, co źle czynią. Niewiele pomaga również organizacja tych, którzy będą postępować przeciwnie, np. powstrzymywanie się od picia alkoholu, palenia papierosów itp., jeśli nie będzie się tego łączyło z pozytywnymi propozycjami innego, atrakcyjnego sposobu życia eliminującego zachowania naganne. Tymczasem nie obserwuje się chrześcijańskiego "stylu bycia" ani wśród inteligencji, ani wśród mas wiernych. Niedawno niezależnie od wyznawanego światopoglądu, wszyscy zgodnie i chętnie aprobowali propagandowy frazes głoszący: "aby ludziom żyło się dostatniej, a Polska rosła w siłę". Otrzeźwienie przyszło dopiero później, gdyż nie było autorytatywnych ostrzeżeń co do skutków takiej aprobaty. Można odżywić całą tę sprawę skwitować tak jak to uczynił w 1980 r. w sierpniu wymazaniu na Jasnej Górze Prymas Stefan Wyszyński nazywając wszystko, co się dotąd działo "szczęśliwą winą", z której rodzi się nieodparta potrzeba "odnowy". Ale, mając na względzie realia współczesnego świata, można też wyrazić poważne zaniepokojenie o los naszego narodu i jego miejsce wśród innych narodów Europy. Nie może bowiem satysfakcjonować nas status "chorego", czy też "biednego" kraju, któremu inni pomagają, by mógł przeżyć katastrofę własnej niegospodarności i nieodpowiedzialności ekipy rządzącej. Pocięcha nie mogą nam być słuszne konstatacje Ojców Soboru Watykańskiego II głoszące, że: "Podczas gdy ogromne rzesze dotychczas są w ogóle ~~pozbawione~~ rzeczy koniecznych, inni, nawet w krajach mniej zaawansowanych, żyją w bogactwie lub trwonią dobra. Zbytek i nędza występują jednocześnie.

Podczas gdy garstka posiada w najwyższym zakresie władzę decydowania, wielu pozbawionych jest prawie jakiegokolwiek moliwości występowania z własną inicjatywą i na własną odpowiedzialność, a przy tym często żyje w warunkach życia i pracy niegodnych osoby ludzkiej." W kontekście tych myśli rodzi się pytanie, a zarazem wątpliwość: czy da się zmienić taką rzeczywistość w porozumieniu z ową "garstką posiadającą w najwyższym zakresie władzę decydowania"? Czy może zmianę sytuacji osiągnie się w walce z tymi, którzy otwarcie i szczerze głoszą, że posiadanej władzy nie oddadzą dobro-

wolnie oraz że będą jej bronić wszelkimi środkami jakie są im dostępne. I chodzi o to, by jednym z takich środków nie stało się nasze z nimi porozumienie w zamian za ochrap udziału w tej władzy i w tych bogactwach, które mogą być ukazane jako zadatek dopiero czekającego nas "Królestwa Bożego". /kag/

O AKCEPTACJĘ CAŁOŚCI

Kiedy Gość ma odwiedzić nasz Dom, pragnie się pokazać i siebie i Dom od najlepszej strony. Nadajemy przeto domostwu wygląd odświętny i uroczysty, kreujemy irrealną rzeczywistość, której urokowi poddajemy się tak bardzo, że chętnie ulegamy miłemu złudzeniu jej nieustającego trwania. Zapatrzeni w śnieżną biel pachnących kromchalemb obrusów i w ostry blask odczyszczonych, bezwstydnie nowobogacko świecących sreber, zapominamy o pajęczynach rozsnutych w niedostępnych kątach mieszkania i o fruwających pod nogami kłębki futerka linejących domowych czworonogów - a wszak to one właśnie - te pajęczyny i kłębki odmierzają czas naszej zwykłej codzienności.

Dziś nawiedza nas Gość szczególnie umiłowany. Normalnym więc odruchem byłoby zachować się tak samo; stłumić w sobie, wymazać i odrzucić w dno niepamięci zakurzone pajęczyny zła, lichoty i brudu w życiu każdego polskiego katolika, z osobna i w gromadzie. Istnieje zresztą ku temu pokusa przegromna, z tej choćby przyczyny, że wcale nie trudno wskazać niepodważalne walory polskiego modelu religijności i polskiej duchowości, stawiających skuteczną tamę wielu chorobom toczącym katolickie wspólnoty w innych rejonach świata. Polski katolicyzm jest wciąż religią ludu, a nie wyłącznie wysublimowana idea, pielęgnowana przez, izolowane od zasadniczego tętna życia zbiorowego, elity. Pomimo /a może właśnie dzięki/ wieloletniej anty-spirytualistycznej i antymetafizycznej demagogii urzędowej nie zanikła w polskiej społeczności katolickiej zdolność odczuwania transcendencji, przeżywania kontaktu z sacrum i realność wyobrażenia eschatologicznego celu egzystencji - co wydaje się szczególnie kontrastować z bardzo nawet częstokroć wartościowymi, ale wyjałowionymi ze zmysłu numinotycznego wspólnotami religijnymi na Zachodzie. /Charakterystyczna pod tym względem jest reakcja, nie tylko środowisk laickich i wrogich Kościołowi, na pewne wątki nauczania Jana Pawła II, jak na przykład przypomnienie metafizycznej realności Szatana i przeświadczenie o obecności Zła w historii. Tymczasem, bardzo często nawet ludzie uważający się za katolików, przyswyczaeni tylko do języka humanistycznej refleksji, reagują alergicznie na najmniejszy przejaw eschatologicznej profecji/. Nie zanikła również w Polsce zdolność do myślenia o historii /także własnego narodu/ w kategoriach providencjalistycznych oraz posłanniczych, co wreszcie powinno przestać być przedmiotem szyderczych przesmiewań wobec tak jawnego bankructwa wszystkich materialistycznych interpretacji dziejów.

Ominęły Polskę, przynajmniej najbardziej drastyczne, przejawy modernistycznego szaleństwa fałszerzy Soboru, od liturgicznych świętokradców Eucharystii po krypto- / a nieraz jawnie/ marksistowskich teologów "wyzwolenia" od prawdziwej wiary. Zupełnie nieprawdopodobna wydaje się z polskiej perspektywy sytuacja /niersadka zwłaszcza na drugiej półkuli/, aby wierni, którzy zachowali jeźcze "sensus catholicus" musieli toczyć boje z własnymi nawiedzonymi

biskupami, którzy na przykład udostępniają Domy Boże dla aktywistów "mniejszości seksualnych", a wypędzają stamtąd obrońców życia niemardzonych, albo opowiadają się otwarcie za walką klas i terroryzmem. Nam to nie grozi - uspokajamy się po przeżyciu szoku wywołanego relacjami skądinąd.

Prawda, to nam jeszcze nie grozi. Ale rzeczywistość duchowa i społeczna polskiej religijności daleka jest od stanu nie ideału nawet - bo ten przecież, z natury rzeczy, w warunkach doczesnych osiągnięty być nie może - lecz takiego, który pozwalałby patrzeć w przyszłość z ufnością w wierne przekazywanie wstępującym pokoleniom tego sensu ładu, który nierozzerwalnie łączy się z istotą rzymskiego katolicyzmu.

Zwykle, na tym miejscu, wymienia się takie słabości polskiego modelu katolicyzmu, jak powierzchowna, dewocyjna religijność, rozdziew pomiędzy wzniosłością werbalnie akceptowanej nauki moralnej Kościoła a rzeczywistymi zachowaniami wierzących / naruszanie prawa istot początków do życia, zanik poczucia bezwarunkowej doggonności węża małżeńskiego - N.B. wspólnym podłożem obu tych sprzeniewierzeń jest faktyczna desakralizacja istotnych pojęcia rzeczywistości, a w tym pojęcia życia w ogóle; nadto bezsilność antyalkoholowej krucjaty /, wreszcie klerykalizacja polskiego Kościoła połączona z infantylnością laikatu. Są to oczywiście najważniejsze problemy polskiego katolicyzmu, nigdy zatem dosyć o nich przypominac. Mimo to, tym razem proponuję skupić uwagę na kilku innych problemach, mniej dostrzeganych, ale nie mniej ważnych, a przy tym wielorakimi wężkami z poprzednimi złączonych, i będących jakby ich mentalnymi zarodnikami.

Na pierwszym miejscu postawić tu należy zjawisko, które określić można mianem religijności selektywnej. Chodzi tu przy tym nie tylko o fenomen wybiórczej akceptacji prawd wiary, bądź przykazań moralnych, ale o upowszechnienie się - w ślad za powyższym - przeświadczenia o naturalności i oczywistości takiej postawy nauczyciela - katolika wobec religii i urzędu nauczycielskiego Kościoła, która polega właśnie na samej "uznaniowości", równoznacznej z przyznawaniem sobie "prawa" do subiektywnej i suwerennej decyzji wyboru przedmiotu wiary. /Rzecz oczywista, nie należy kwestii tej mieszać z samym a k t e m wiary, który musi być wynikiem całkowicie wolnej woli. Akt ten, raz jednak zaistniały, obligeuje już, również z punktu widzenia logiki, do całościowej akceptacji treści nauczania religijnego. / Mamy więc coraz częściej do czynienia z sytuacją, w której człowiek deklarujący się jako katolik / i, na ogół, szczerze nim będący /, powiada, nie znajdując w tym nic nagannego, że "to coś" mu w religii / czy w Kościele / odpowiada, a "tamto coś" mu nie odpowiada a zatem nie będzie się do "tamtego czegoś" stosował. Co dziwniejsze ta "uznaniowa" postawa, przyjmowana bywa nie tylko w odniesieniu do przykazań moralnych, do czego skłaniać może, niczego oczywiście nie usprawiedliwiający, ale bądź co bądź konkretny interes osobisty, ale również w stosunku do tez ściśle metafizycznych, choć tu żadnego "interesu" mieć nie sposób.

Wydaje się, że źródłem potrącanego tu zjawiska jest "inwazja" w postawę duchową katolików nowożytnej mentalności humanitarno - liberalnej, która np. w sferze politycznej oznacza uznanie prawomocności jednego tylko sposobu legitymizacji poszucha - a mianowicie dobrowolnej umowy wszystkich zainteresowanych / dopuszcza się przeto możliwość zmiany treści tej umowy przez wynegocjowanie nowych warunków porozumienia /; w sferze zaś duchowej oznacza niejako "wolną grę" i całkowite równouprawnienie idei, równouprawnienie podniesione do rangi już nie "techniki koegzystencji" intelektualnej, lecz wartości

ci samej w sobie, zwanej pluralizmem. Problem polega jednak na tym, że o ile w sferze politycznej zasada consensusu, mimo jej nieprzekonywującego zaplecza filozoficznego, wydaje się nie do zakwestionowania we współczesnym świecie cywilizowanym / a spierać się można i trzeba co najwyżej o jej szczegółowe rozumienie i o nie "monopolizowanie" jako źródło legitymizmu władzy/, o tyle w świecie duchowym jest ona całkowitym nieporozumieniem i zaprzeczeniem istoty postawy religijnej, która polega nie na zgodzie wierzących na prawdy podawane do wierzenia, lecz, przeciwnie, na akcie bezwarunkowego zawierzenia i oddania się w duchowe jarzmo, z gotowością dania świadectwa owej wierze aż do męczeństwa.

Zamiast tego, umysłowość "demokratyczna" owocuje religijnym "konsumeryzmem" niejednego katolika, co wobec prawd objawionych zachowuje się jak klient w restauracji doblerający według swego smaku przystawki do głównego dania.

O ile problem powyższy /ledwie zresztą "muśnięty"/ dotyczy postaw rzesz ludu Bożego, o tyle drugie z proponowanych tu do namysłu, zagadnień "mierzy" bezpośrednio w przewodnikach Ludu z ducha i urzędu. Wiąże się ono z problemem, który, nawiasem mówiąc, powinien nareszcie zostać przez kogoś kompetentnego, sprawiedliwie, więc surowo, ale bez złośliwości, opisany - z problemem języka i stylu /a, co za tym idzie, zawartości i sensu/ współczesnej homiletyki, kaznodziejstwa i katechezy kościelnej. Nie można już dziś udawać, że się nie wie o znaczeniu lingwistycznego wymiaru bytu; o tym, że struktury języka wpływają na sposób myślenia.

Sytuacja przedstawia się źle właśnie z punktu widzenia czystości depozytu wiary, bo błąd składniowy, frezeologiczny czy stylistyczny rzutuje na samantykę. Niejeden ksiądz zupełnie nieświadomie dopuszcza się w kazaniu /słuchanym przez tysiące wiernych/ nieomal błędu doktrynalnego tylko dlatego, że nie rozumie w pełni sensu wypowiedzianych przez siebie słów, albo poplątał szryk wyrazów w zdaniu. Skąd się to bierze? Przypuszczalnie, źródłem tej sytuacji są przemiana modelu edukacyjnego w seminarjach duchownych - zerwanie z wielowiekową tradycją retoryki antycznej jako stylistyczno-logicznego wzorca homiletyki, wzorca wczającego dyscypliny intelektualnej i przemyślanej, spójnej konstrukcji wykładu.

A ponieważ natura horret vacuum, w to puste miejsce wciska się retoryka bardziej "parciana" - z łam gazet i z odbiorników radiowych oraz TV - dudniąca paroma "pojęciami jak cepy", brzęcząca "łańcuchami tautologii". Nowe pokolenia kapłanów, którzy nie czytali przecież w liceach Horacego i Cycerona, nie różnią się pod względem formacji kulturalnej od swych świeckich rówieśników, atakowanych przez te same mass-media, sączące prymitywne ideologie, shomogenizowana na pop-kulturę i deprawujące narzędzie komunikacji, twórczości i wysławiania Stwórca-język.

Ostatni temat do refleksji jest szczególnie delikatnej natury. Chodzi mianowicie o kwestię obecności i roli w polskim Kościele /zwłaszcza lat ostatnich/ "neofitów", głównie ze świata kultury, nauki i polityki. Oczywiście bramy Kościoła muszą być otwarte dla wszystkich, bo "wiele jest mieszkań w domu Ojca mego". Konwertyci, pośród których nie brakowało nigdy - od św. Augustyna począwszy - ludzi najznakomitszych duchem i umysłem, są nawet szczególnie chlubą Kościoła. Nie wolno więc bram tych przed kimkolwiek zatrząskiwać. Ale istnieje dziś problem postawy ludzi powracających do świątyń wobec wspólnoty wierzących. /Pomijam, jako nie nadająca się do czyichkolwiek rozstrząsań, sprawę szczerości nawróceń, bo to kwestia pomiędzy sumieniem człowieka a Bogiem/. Czy przyjmują oni postawę serdecznego współuczestnictwa w życiu Kościoła i należytego szacun-

ku dla zastanych, autentycznych i sprawdzonych form religijności; form jednak innych niż te, których sami się - w męce również serdecznej - zdołali dopracować?

Czy może jednak uważają, że mają "prawo" natrzasać się z tradycyjnej religijności i postponować samo pojęcie "wiary ojców", a nawet pouczać i "przestrzegać" przed urojonym niebezpieczeństwem "nacionalizacji" religii /to ostatnie ujawnia po prostu przyniesione z zewnątrz idiosynkrazje osobiste i grupowe, a mówiąc wprost, antyendecka obsesję/.

Szczególnym przypadkiem tego zagadnienia jest postawa tej części inteligencji laickiej, która, znalazłszy się dziś na rewolucyjnym skrzydle opozycji, zatrzymała się na pozycjach areligijnych i akonfesyjnych, ale jednocześnie zadeklarowała zmianę swego tradycyjnie wrogiego religii, zwłaszcza katolickiej, stanowiska, a nawet złożyła - niejako w imieniu całej niezależnej lewicy - ofertę wspaniałania na gruncie antytotallitarnego sprzeciwu w imię praw człowieka. Pomijając kapitalny problem wykładni tych praw, nieporozumienie polega tu na przekonaniu, że jakakolwiek płaszczyzna doczesna i społeczna / a taka jest przecież najidealniej nawet pojęta kwestia praw człowieka/ nie może być wysunięta na plan pierwszy w zbawczej misji Kościoła, której zasadniczy cel jest eschatologiczny-zbawienie wieczne człowieka w unii z Bogiem. Nie może ów cel zostać usunięty w cień lub sprowadzony do roli czynnika niejako "prywatnego", specyfikującego tylko instytucję Kościoła, stowarzyszonego na tych samych warunkach z innymi siłami ziemskimi, zgrupowanymi wokół celu społecznego i doczesnego, który wówczas siłą rzeczy wybija się na plan pierwszy, jako wspólny wszystkim "partnerom". Kościół może i powinien upominać się o prawa osób ludzkich /czyni to zresztą coraz donośniej/, ale nie może sam siebie zredukować do rangi zwykłego i równorzędnego "partnera" sił doczesnych, a przez to wyrzec się obowiązku nawracania wszystkich na drogę Prawdy i Życia wiecznego. Dlatego też najbardziej nawet bezinteresowna oferta dialogu lewicy z Kościołem na płaszczyźnie "antytotalitarnej opozycji" nieuchronnie popełnia ten sam błąd terestrializacji misji mesjańskiej Kościoła, co oferta innej lewicy do dialogu w obronie "pokoju" czy "sprawie dliowości społecznej".

Ardalion

CZY WIERNA?

Kilka lat temu, w bardzo ważnym momencie mojego życia podjąłem próbę rozliczenia się z otaczającą mnie rzeczywistością, która mnie mierzyła. Wśród tematów, z jakimi musiałem się uporać, znalazł się Kościół. Praca trwała długo i mozolnie, a efektem było poczucie niemożliwości pełnego oddania prawdy. Zaciążyło nad tym chyba zbyt emocjonalne przeżywanie chwili bieżącej, a także "chorobliwa" myśl, że o Kościele można tylko dobrze, albo tylko źle.

Ankieta "Tygodnika Powszechnego" i ta w "zmarłych stałym" "Przeźwicie" odświeżyła niezagojoną ranę, dotyczącą najbardziej intymnego miejsca.

"Ecce Ecclesia". Tak postawiony problem wyjaśnia intencję i stosunek do Kościoła.

Ściągle w uszach brzmia odkurzone z racji papieskich pielgrzynek słowa "POLONIA SEMPER FIDELIS". /tak nawet rozpoczynał

się numer "P" z 83 r./.. Na kilka dni przed kolejną wizytą Ojca Św. pobrzmiewają wątpliwości. Czy wierna? Jak i na ile wierna? "... mówiąc szczerze mamy pokusę powiedzieć, że Kościół nie jest ani święty, ani katolicki. Sam Sobór Watykański II miał odwagę mówić nie tylko o świętym, lecz i o grzesznym Kościele. Jeśli Soborowi można by coś zarzucić to, najwyżej to, że mówił o tym zbyt niesmiało, bo przecież, jakże głęboko tkwi w naszej świadomości przekonanie o grzeszności Kościoła".

Słowa kard. Josepha Ratzingera odzwierciedlają niepokój o losy Kościoła. Inne informacje mówią o "fermencie", który jest oznaką życia, wskazując, że środek chrześcijaństwa przemieszcza się systematycznie w rejon Pacyfiku, Azja, Afryka, Ameryka Płd. to przyszłość Kościoła, żywego choćby przez fakt niebezpieczeństwa "teologii wyzwolenia" oraz przez fakt, że jest to Kościół ubogich i maluczkich, a więc tkwiący w istocie Kościoła Chrystusa.

W zderzeniu ze światem Kościół w PRL zajmuje miejsce na obrzeżu katolicyzmu. I nie pomoże odwoływanie się do przeszłości ani do statystyk. Tu nie rządzi prawa "realnej ziemskości". Kard. Ratzinger mówi dosadnie: "... kto jest tylko numerem, zostaje usunięty poza obręb współczesności". To nie herezja ale nauka Jezusa. Niech mowa wasza będzie tak-tak, nie-nie".

Ponad 20 lat temu zakończył się Sobór, który dokonywał obrachunku z rzeczywistością budząc członków Kościoła z letargu. Nie wszystkich z niego jednak wyrwał. Bo co zmieniło się w naszym Kościele poza liturgią? Ilu z 90% katolików w Polsce znane jest dzieło soborowe? Ilu uczestniczy w jego realizacji? Jakie miejsce zajmą laikaty? Pytania można mnożyć, lecz na nieliczne można znaleźć zadowalające odpowiedzi. To właśnie spycha nas na obrzeże.

Nie nasza to zasługa, że na Stolicy św. Piotra zasiada Polak i nie wystarczający to powód do triumfalizmu. Wybór Polaka na papieża, jego pielgrzymka do Ujezyszyna, a przede wszystkim wybuch "Solidarności", spowodowały instynktowny napływ Polaków do Kościołów. Szukaliśmy w nich pomocy i utwierdzenia we wspólności. Tak gwałtowny skok był prawdziwym szokiem dla duchowieństwa, które gdzieś tam straciło głowę widząc jedynie zagrożenie dla skostniałych form. Fala niosąca nadzieje, troski i konkretne problemy burzyła tak ceniony swojki, żeby nie powiedzieć zasciankowy spokój. Na szczęście czuwała nad nami Opatrzność, której widomym znakiem jest papież. Tacy jak on tworzą historię, okrywając splendorem gniazdo, z którego wyszli na świat. Dla gnusnych i lekliwych /o siebie/ są zawsze gotową zaskoną. Nie brakuje też tych, którzy wypełniali czynem to, co dla innych było tylko słowem bez pokrycia.

Zaczął się nowy rozdział historii Kościoła w Polsce. Na razie wszystko idzie po wierzchu. Sprowadza się do pierwszych zwrotek "Mazurka Dąbrowskiego" i "Bdźcie się Polscy". Sztandary, wiecie i ślubowania. Na tyle starcza bowiem wiedzy i możliwości. Brakuje chęci kreowania postaw, rozsądnego wychowania. Historia onaż nas, jesteśmy nieprzygotowani. Dołączył się do tego kryzysu moralności jako wynik kryzysu wiary.

Mówiąc o kryzysie postaw, ubolewamy nad brakiem żądu i harmonii. W Polsce nie zbywa świętości. I nic tu nie pomogą marmurowe tablice ani okazałe świątynie. To echo częste przeszłości, jakie wyolbrzymiłony zasług, mitów, półprawd. A w kościołach rzadko dobre kazanie. Wyraźny brak przygotowania. Słowo Boże rozpięwa się w swobodnej interpretacji, ginie w sprzecznościach, tak jakby seminaria duchowne nie dawny wiedzy teologicznej i filozofii

cznej. Często w parze ze złym kazaniem idzie żypanie na zegarek, które czyni z homilii, Mszy Świętej dniówkę zadańiową. Jako katolik zazdroszczy protestantom. Tam Słowo Boże po prostu JEST. Kazania są precyzyjne i ugruntowane wiedzą.

Spiew jest żalosną próbą kilku osób i zwykle milknie po pierwszej zwrotce w żalu i zawatydzeniu. Po mszy wychodzimy tak samo sobie obcy, jak przyszłomy. Kościół to nasza odpowiedzialność i działanie. Do palących zadań należy sprawa rad parafialnych i ich statusu. Najpierw muszą one funkcjonować we wszystkich parafiach i być wyłaniane przez wspólnotę wiernych. Muszą mieć możność współdecydowania i współzarządzania dobrem parafialnym. Coraz większa jest potrzeba odciążania kapłanów od spraw administracyjnych. Rozliczne i różnorakie prace wywołują zrozumiałe zmęczenie, które nie pozostaje bez wpływu na przygotowanie strawy duchowej.

Tajemnicą poliszynela jest fakt, że najbogatszymi kartotekami policji politycznej są kartoteki kleru. SB wiele wie.

Przed plebania stoją cztery srebrzaste Toyoty. Ich "własciciele", z powołaniem, czy bez, będą do końca nosili swój stygmat kapłański szamocąc się i męcząc, widząc wreszcie w tym interes dobry jak inny, jeśli nie lepszy. Od "ich" otfarsza nie padną słowa Synodu: "... Życie kapłana ma być dla ludzi również znakiem właściwego stosunku do dóbr ziemskich. W dzisiejszym świecie, w którym tak często zbytek i nędza sąsiadują ze sobą a życie ludzi jest nastawione wyłącznie na wartości materialne, kapłan musi być w sposób szczególnie wolny od wszelkiej chciwości i przywiązania do bogactwa. Nie może żadną miarą traktować urzędu kościelnego jako środka zarobku czy też sposobu powiększania swego majątku rodzinnego. Sobór zachęca kapłanów do praktykowania dobrowolnego ubóstwa, a wszystkim zaleca "unikanie wszelkiej próżności czy wyśtawności w sposobie życia, mieszkaniu oraz posiadanych przedmiotach" /DK 17; KDK 63/.

"... Kościół powinien na sposób profetyczny demaskować wszystkie formy ubóstwa i ucisku oraz wszędzie bronić i ochraniać podstawowe i niezbywalne prawa osoby ludzkiej". Stanie się to możliwie kiedy "... Kościół włączony w dzieje ludzkości jako instytucja widzialna i ludzka, doświadcza tego samego losu ziemskiego co świat, w którym żyje" /KDK 40/.

Słowa godne marmurowych tablic.

Na szczęście są Kościoły serc, są święci kapłani, jest życie. Ono też przeprowadza błyskawiczną weryfikację. To pełne świątynie, ważąca mimo "ciężkiego" czasu taca. Życie bractw i duszpasterstw w kościołach i poza nimi. Są wreszcie Ci, do których dopchnąć się trudno. Oblężeni, umordowani, ale otwarci na każdego, a przez to bogaci sercami wiernych. To Ci, w których realizuje się pełnia powołania. Bez wrzawy, krzyku, łajania. Są znani, podawani z ust do ust. I dlatego trzeba ich wspomagać i chronić. Chronić przed tymi, których wypełnianie powinności razi i kłuje.

Jeśli mówimy o winach, to największa jest nasza wina. Wina milczenia, lenistwa i nieuctwa. Wina za brak odpowiedzialności i uczestnictwa. Nasza własna wina dopełnia goryczy i często odbiera jasność widzenia.

Zmienił się czas i ludzie. Coraz trudniej powoływać się na tradycję i coraz mniej ona wystarcza. Polska będzie WIERNA, jeśli Naród, a przynajmniej jego znacząca część, dokona świadomego wyboru opartego na pogłębionej wiedzy o Bogu, człowieku i Kościele. Wiedzy tej dostarczyć i wychowawcą musi być Kościół. Na to jednak, jak mówi kard. Ratzinger "... potrzebne Kościołowi jest oczyszczenie, by mógł stać się Kościołem ubogim, maluczkim. Proces trudny, bo trzeba pozegnać sekularną ciasnotę i samowielbienie!

KOŚCIÓŁ PARADOKSÓW

Wydawałoby się, iż stara definicja Kościoła akcentująca przede wszystkim jego hierarchiczny ustrój /a opracowana w XVI w. przez - R. Bellarmina/ należy już do przeszłości. Dekrety bowiem Soboru Watykańskiego II wyraźnie ujmują Mistyczne Ciało Chrystusa, jako Lud Boży. Co prawda podległy jest on strukturze hierarchicznej, lecz po wzięciu ostrożności na rzecz powszechności kapłaństwa. Zresztą cała reforma soborowa dość szybko przygotowana na papierze w formie odpowiednich dekretów, konstytucji i instrukcji z różnym natężeniem wprowadzana była w życie od czasów pontyfikatu Pawła VI. Z różną też siłą przystosowywały się Kościoły lokalne do nowych form pracy. Nie zawsze powiew reformy watykańskiej był jednakowo akceptowany przez narodowe episkopaty. Niekiedy warunki zewnętrzne wespół z istniejącą sytuacją w łonie lokalnych episkopatów i Kościołów poważnie tamowały realizację uchwał soborowych. Kościół polski stał w rzędzie tych ostatnich. Nie wiadomo czym była motywowana ta postawa. Nie można było, czy też nie chciano? Marnujemy szanse? A właściwie jaki jest nasz Kościół?

Na obecną sytuację Kościoła polskiego, jego oddziaływanie i miejsce w społeczeństwie miały wpływ ostatnie dwa wieki naszej narodowej historii. Nie kuszę się na długi wywód historyczny - powiem tylko, że lata niewoli narodowej, a szczególnie okres ostatniej wojny światowej niezwykle mocno ugruntowały pozycję Kościoła w narodzie polskim. Jak to mówił Prymas Tysiąclecia - Kościół pozostał z narodem, był z nim zawsze, także w czasie brutalnych prześladowań. Stąd też władza komunistyczna po 1945 r. nie mogła natychmiast i jednoznacznie się z nim rozprawić. Stosowano więc metody raczej pośredniej walki, znacznie rozłożonej w czasie. Jak się jednak okazało, czas nie był sprzymierzeńcem władzy politycznej. Oczywiście marginalnie udało się skaptować co niektórych duchownych /tzw. księży patriotów/, zneutralizować niektórych biskupów /np. bpa Łódzkiego Klepacza/, ograniczyć wpływ Kościoła na życie społeczne /likwidacja instytucji kościelnych/, ale tylko częściowo zepchnięto Kościół "do kruchty". Sukcesy tych akcji były połowiczne i krótkotrwałe. Prestiż społeczny duchowieństwa, jego w miarę wysoki poziom intelektualny i moralny, a zwłaszcza nieprzejednana postawa większości episkopatu z prymasem S. Wyszyńskim na czele zniweczyła całkowicie akcje antykościelne "okresu błędów i wypaczeń". Co prawda "epoka mi

niona" /lata 1957-1970/ nie była wolna od częstych i brutalnych /może raczej głupich i nieprzemyślanych/ syykan tak wobec biskupów /ograniczenia paszportowe/, jak i społeczeństwa /blokowanie uczestnictwa w uroczystościach kościelnych, zwłaszcza millenijnych/, lecz stopniowo wzrastał ogromny majestat Kościoła, gdzie prymas pozwał sobie /zgodnie z mniemaniem, że reprezentuje on znaczną, jeżeli nie większą część społeczeństwa polskiego/ na akty o znaczeniu międzynarodowym. Żaden inny episkopat i jego przewodniczący w Europie środkowo-wschodniej nie mógł sobie na to pozwolić. Arcybiskup Gniez na i Warszawy czynił to. Okres budowy gierkowskiej drugiej Polski sprzyjał tym tendencjom jeszcze bardziej. Budowano atrapę jedności zwartości i siły także w łonie Kościoła. Niespodzianką dla wszystkich był wybór kard. K. Wojtyły na Stolicę Piotrową. Dla władzy komunistycznej przede wszystkim. Okazało się bowiem, iż misteryjnie budowana antykościelna polityka władz z Białego Domu na Nowym Świe cie w Warszawie w jednym momencie rozsypała się w puch. Od tego czasu siła moralna, a także polityczna Kościoła - a ściślej mówiąc kierownictwa na ul. Miodowej - stała się niekwestionowana. Czy jednak jest odpowiednio wykorzystywana? Czę obecnie nie marnowany jest wieloletni wysiłek pokolenia księży, a zwłaszcza Wielkiego Prymasa?

Paradoksem czasów najnowszych i współczesnych jest fakt stworzenia przez rządy komunistyczne w Polsce bodaj najlepszej sytuacji istnienia i działania Kościołowi polskiemu. Nigdy bowiem dotąd instytucja kościelna, a przede wszystkim hierarchia nie była tak swobodna w swoim funkcjonowaniu, jak w ostatnim czterdziestoleciu. Zabranie Kościołowi dóbr materialnych upaństwowienie organizacji kościelnych, uniemożliwienie wpływu na szkolnictwo spowodowało, że Kościół polski musiał sam się zająć własnymi sprawami, nie mogąc cożywiście liczyć na żadną pomoc ze strony państwa, które było jemu wręgie. Stara zasada Kościoła "faremo da se" /damy sobie radę sami/ zaczęła obowiązywać w życiu codziennym. A przede wszystkim instytucja kościelna stała się zupełnie niezależna finansowo od państwa. Do tego wszystkiego doszło zerwanie przez rząd polski we wrześniu 1945 r. konkordatu zawartego przez Stolicę Apostolską i Rzeczpospolitą Polską w 1925 r. Kościół polski stracił swą osobowość prawną. De iure przestał istnieć choć de facto funkcjonuje po dziś dzień.

Całkowita niezależność, zwłaszcza materialna Kościoła przyniosła różnego rodzaju skutki. Z pozytywnych należy wymienić: realizację

wanie swoich własnych celów bez oglądania się na innych, kształtowanie swoistego wzorca duchownego polskiego duszpasterzującego w państwie komunistycznym /kapłana wolnego, podległego jedynie władzy biskupiej/, samodzielne propagowanie ideałów chrześcijańskiego postępowania /stojących w sprzeczności z zalecanymi przez państwo marksistowskie/, wytworzenie niezależnego obiegu i przepływu informacji, nie tylko kościelnych, zorganizowanie niezwykle aktywnych młodościowych i studenckich grup nieformalnych, stworzenie z Konferencji Episkopatu zupełnie niezależnego ośrodka kierowniczego. Ale są także negatywne skutki rozłączenia spraw państwa oraz Kościoła. Można zaliczyć do nich: stworzenie niezwykle szczelnego getta społeczno-zawodowego, akceptującego w swych szeregach jedynie duchownych /por. niektóre środowiska naukowe/, przedmiotowe traktowanie świeckich pozostających poza kapłaństwem hierarchicznym /choćby sytuacja tzw. świeckich teologów/, obniżenie poziomu naukowego Seminariów Duchownych, przy jednoczesnym masowym przydzielaniu tytułów naukowych /niski poziom prac magisterskich zatwierdzanych w ramach filii uczelni katolickich/ swoboda w korzystaniu z wielości dóbr materialnych /tzw. szybkie dorabianie się/, poważne zaniedbywanie obowiązków duszpasterskich /choćaby akceptowanie niskiego poziomu religijnego wiernych/, przy jednoczesnym podkreślaniu masowego i rustykalnego charakteru katolicyzmu polskiego /poważne zaniedbania duszpasterskie wśród inteligencji i robotników/, wreszcie nasbyt powierzchowne włączanie się w akcje społeczne i chęć odgrywania roli politycznej w państwie przy równoczesnym odrzuceniu pragnienia lub posądzenia o zajmowanie się kwestiami politycznymi.

Wszystkie te elementy wpływają na zupełną nietypowość Kościoła polskiego. Może więc poszczycić się on ogromną liczbą powołań kapłańskich, stosunkowo dużym /jeżeli chodzi o zasięg/ oddziaływaniem społecznym i w miarę wysokim zaufaniem społeczeństwa, swobodnym i niezależnym zajmowaniem stanowiska w kwestiach społecznych, ekonomicznych, a nawet ściśle politycznych. Jednocześnie poziom intelektualny duchowieństwa nie jest wysoki /system rekrutacji i metody kształcenia seminaryjnego pozostawiają wiele do życzenia/, co wraz z dość licznymi wypadkami naruszania przez nich chrześcijańskich zasad moralnych prowadzi do powierzchowności w oddziaływaniu duszpasterskim.

Z kolei nieustannie podkreślanie ludowości naszego katolicyzmu, lubowanie się w masowych zrywach religijności, przy jednocześnie się

był pogłębieniu u wiernych nauki chrześcijańskiej /gdzie nieznamość podstawowych prawd wiary jest nagminna/ zmniejsza odporność na ataki przeciwnika ideologicznego, zagubienie jednostki, jej przedmiotowość, a w konsekwencji jej kompromisowość społeczno-polityczną i niemożność osobistego wpływu na funkcjonowanie Kościoła. Niewątpliwie i czynne zaangażowanie się episkopatu /a zwłaszcza prymasa/ szeroko pojętymi kwestiami politycznymi, widzenie tych spraw w innej perspektywie /może nawet eschatologicznej/, wraz z paternalistycznym traktowaniem świeckich /nawet tych najwierniejszych i najbardziej lojalnych/ nie zawsze idzie w parze z intencjami, pragnieniami i celami ogółu społeczeństwa, nie w pełni przecież katolickiego. Zachowanie względnego status quo, niezaoznaczenie stosunków na linii Kościół - państwo, stopniowe wyciszenie głosów krytykujących działanie obecnej grupy rządzącej a publicznie wygłaszanych w murach kościelnych, bierność w działaniu społecznym, systematyczne rozszerzanie cenzury kościelnej, kładzenie nacisku na spektakularne akcje nie mające głębszego podłoża teologiczno-pastoralnego, wraz z nieustannym kokietowaniem władzy, cechuje postępowanie hierarchii polskiej ostatnich kilku lat.

Tak więc środki, którymi posługuje się zhierarchizowane duchowieństwo w większości są przestarzałe, partykularyzm celów, poważne ograniczenie działania świeckich katolików na płaszczyźnie kościelnej, polityczne warunkowanie podejmowania pewnych decyzji, zaniedbanie duszpasterskie ogółu wiernych, akceptowanie niskiego poziomu teologicznego wiernych i duchownych, fasadowość niektórych działań duszpasterskich, chęć odgrywania roli przewodników duchowych narodu bez posiadania do tego walorów intelektualnych, wszystko to składa się na obraz /na pewno niekompletny/ polskiego duchowieństwa katolickiego. Ale nie tylko oni tworzą ten Kościół.

Kościół polski to my wszyscy. Jaki więc on jest? Niewątpliwie liczny, różnorodny, wielośrodowiskowy, pełny entuzjazmu, zdolny do czynów niebywałych. Ale także ogromnie staromodny, tradycyjny, mało aktywny na co dzień, w wielu wypadkach pogański, niekonsekwentny i koniunkturalny, którego wiedza teologiczna zatrzymała się na poziomie katechizmu dzieciennego. Chrześcijanie tworzący nasz Kościół to w większości wypadków katolicy z metryki, wierni bożonarodzeniowi i wielkanocni, nie znający swego proboszcza, z trudem wymieniający 10 przykazań Bożych, dla których określenie tego "w co wierzę" jest ponad miarę intelektualną. To także chrześcijanie stawiający Bogu

świeczkę a diabłu ogarek, chrześcijanie partyjni równie gorliwie manifestujący na pochodach 1 Majowych, jak biernie uczestniczący w pielgrzymkach papieskich, nie angażujący się w życie parafialne pozostawiający plac działania rencistom i emerytom. To chrześcija nie dobrowolnie pracujący w niedzielę - dzień przeznaczony Bogu, ale rozliczający proboszcza i wikarych z wszystkich wydatków. To chrześcijanie rzadko przystępujący do sakramentów św., ale silnie zakrapiający alkoholem wszystkie uroczystości rodzinno-sakramentalne. To ojcowie nie umiejący zmówić z dziećmi pacierza wieczornego oraz matki bez żadnych skrupołów zabijające nienarodzone dzieci. Chrześcijaństwo nie przepaja ich życia rodzinnego - mimo łączności z Kościołem faktycznie żyją daleko poza nim. Sprawy materialne przedkładają nad duchowe, a tym samym stają się bardzo podatni na wszelkie naciski wroga, który wykorzystuje ich indolencję, koniunkturalizm polityczny, brak autentycznej i prawdziwej solidarności. Taki jest nasz masowy Kościół polski.

Na pewno jest to obraz nieco przerysowany, ale nie zanadto. Polskie masowe i tradycyjne chrześcijaństwo w znacznej części takie jest właśnie. Do autentycznego chrześcijaństwa i czynnego działania w Kościele jeszcze nam daleko. Patrząc na niektóre małe grupy młodzieży i dorosłych animowane przez żarliwych duszpasterzy - kiedy obie strony wiedzą do czego dążą - można żywić nadzieję, że nie jest jeszcze tak źle. Bo chrześcijanin modlący się w zakładzie pracy, solidarnie wspierający swych kolegów wyrzuconych z pracy, pomagający w miarę swych możliwości w pracy duszpasterskiej, współkatechizujący swe dzieci, emeryt oddający połowę swej małej emerytury na potrzeby lokalnego kościoła, działacz ruchu charytatywnego inwigilowany przez milicję, matka wspierająca swe dzieci prześladowane w szkole ze względów religijnych - to również jest nasz rodzimy Kościół. Gorliwy kapłan zapracowujący się wśród młodych i starszych parafian, siedzący długo w konfesjonale i biegnący z wiatykiem do chorego, po nocach przygotowujący homilię niedzielną, a wczesnym rankiem dozorujący murarzy na budowie miejscowego kościoła, w podartym habicie jadący po cement, odmawiający brewier w tramwaju lub pociągu, zmierzający do szpitala lub więzienia z posługą duszpasterską i dzielący paczki dla politycznych, użerający się z biskupem, zatrząsany przez Służbę Bezpieczeństwa i tłumaczący się przed "wynaniciowcem" - to także polski Kościół hierarchizowany.

O tym wszystkim należy pamiętać oceniając najnowsze lub współczesne dzieje Kościoła nad Wisłą. Są one nietypowe, bardzo zawiązane, niejednoznaczne, paradoksalne! Być może na tym polega jego inność, a nasza specyficzność. Nie wiem ?!

Karol M. Mikoszewski

W STRONĘ JASNOŚCI

Na wstępie określe mój punkt obserwacyjny, perspektywę, w jakiej postrzegam Kościół, w którym żyję. Otóż mam w swym życiorysie dłuższy okres przygody, co najmniej agnostycznej, i chociaż nigdy nie byłem zdeklarowanym ateistą, jednak w przeszłości miałem sposobność przyśwoić sobie różne ateistyczne poglądy na religię i religijność. Po tych doświadczeniach i po okresie ekscytacji powrotem do Kościoła myślę, że jestem "realista" w odniesieniu do różnych form ekspresji wiary, natomiast jestem "radykałem", jeśli idzie o pojmowanie jej istoty.

Realizm pozwala mi widzieć, a radykalizm - odczuwać. Środowisko, w którym się obracam, stanowi dość szerokie i spolaryzowane spektrum odniesień do Kościoła: począwszy od osób autentycznie i mocno doń przywiązanych, a skończywszy na przypadkach klinicznej wręcz wrogości wobec wszelkiej religii. Cokolwiek by o tej perspektywie mówić, nie zasługuje na pewno na miano jednostronnej ani niez zaangażowanej. Forma i treść mojej wypowiedzi zdradza w sposób oczywisty brak podstawowego wyrobienia teologicznego, ale zdecydowałem się na zabranie głosu w przekonaniu, że mimo wszystko mam takie prawo, a chyba i powinność, że problem wiary jest zbyt wielki, aby pozostawić go wyłącznie specjalistom - choćby byli teologami. Przechodząc do rzeczy spróbuję wprzód opisać niektóre niepokojące mnie objawy i ich interpretacje, a następnie znaleźć wspólny ich mianownik.

Dość szeroko mówi się, że Kościół Polaki jest "kościółem ludowym". Z pewnością takim był przez, powiedzmy, trzy dekady powojenne, kiedy to materialistyczny reżym rację swego istnienia budował na pretensji do nadprzyrodzonej zdolności wykreowania nowego i wszechogarniającego szczęścia. Kościół ze swą wiarą człowieka i nadprzyrodzoności stał się naturalnym wrogiem reżymu i obiektem szaciekłych ataków. W tych zapasach oparł się na chłopstwie, na tej warstwie społecznej, której żywotne interesy sprzeczne były z polityką reżymu, a która była stosunkowo odporna na jego presję. Sojusz kościelno - chłopski oparty na wspólnocie interesów okazał się silniejszy aniżeli reżymowy sojusz robotniczo - chłopski. Z sojuszu kościelno - chłopskiego, a więc tworu narodo-ludowo-religijno-politycznego, wyłonił się obraz "kościół ludowy", który zwycięsko odparł napór ateizacji. Był to kościół skutecznie walczący o swe przetrwanie oraz o przetrwanie tożsamości narodowej i polskiej wsi chłopskiej.

Mieunikniona ceną zwycięskiego aliansu było zaniedbanie duchowego i intelektualnego rozwoju stosownego do ogromnych przemian cywilizacyjnych i społecznych, a później - przeoczenie odnowy soborowej.

Tymczasem komuniści nie tylko odłożyli do lepszych czasów zakusy definitywnego wyeliminowania Kościoła, ale nawet wyczerpani boleśnym

kontaktem z rzeczywistością i pozbawieni wiary w ideologię-upatrzylł w Kościele taktycznego sojusznika.

Mamy dzisiaj zupełnie nową sytuację cywilizacyjno-społeczną: chłopł wynieśli się do miasta lub robią interes na ogórkach bądź też rozsiedli się przed telewizorem; całe społeczeństwo jest lepiej wykształcone i skłonne do wyrażania swych aspiracji i stanu ducha w sposób zupełnie odmienny niż poprzednie pokolenia; reżym znowu proklamował zda się długotrwałe zawieszenie broni. Słowem zniknęły już ze sceny czynniki nadające rację bytu "kościółowi ludowemu", a tymczasem wciąż nieustają próby podtrzymywania przy życiu tej przedawnionej formuły.

Rodzi się pytanie, skąd czerpie siły uporczywość tego stereotypu. Poszukiwanie odpowiedzi prowadzi nas do odsłonięcia spłotu kilku czynników sprzyjających utrzymywaniu się tej formuły. Po pierwsze, immanentną cechą instytucji kościelnych jest - dobroczynny naogół - konserwatyzm. Po drugie, dramatyczny i bolesny kryzys chrześcijaństwa na Zachodzie przypisywany jest procesom posoborowej odnowy.

Abstrahując od trwałości takiej oceny, przyznać trzeba, że "kościół ludowy" pokazał, iż potrafi reformy soborowe skutecznie odwlekać, stanowi zatem w oczach zwolenników kryzysogennej koncepcji roli odnowy skuteczny środek zaradczy. Po trzecie, "kościół ludowy" stanowi antidotum na wizję Kościoła jako Ludu Bożego, a wizja ta stwarza warunki dla rozwoju ekskluzywności duchowej różnorodnych wspólnot jako przeciwwagi elitarności hierarchicznej. Ponadto wspólnoty takie emancypują świeckich likwidując podstawę piramidy hierarchicznej: w Kościele Ludu Bożego jesteśmy ludem wobec Boga, a nie wobec hierarchii, która staje się tu tymże samym ludem. Po czwarte, "kościół ludowy" jako struktura zrutyinizowana odpowiada zasiedziałości części duchowieństwa oraz rzeszom katolików pojmujących religię jako część tradycyjnego obyczaju. Po piąte wreszcie, "kościół ludowy" w wymiarze organizacyjnym wykazuje pewną symetrię wobec struktury państwa, co snamionuje chyba wzajemne pragmatyczne "dopasowanie" tych struktur oraz stanowi w oczach reżymu funkcjonalną podstawę stabilizacji stosunków państwo - Kościół. Nie miejsce tu aby mnożyć przykłady owej symetrii, ale wspomnę o jednym - o fasadowości, która bujnie rozkwita właśnie teraz w dniach przygotowań do wizyty Ojca Świętego i Kongresu Eucharystycznego, głuszac istotny sens obu wydarzeń.

Takich to dopatruję się przyczyn trwałości anachronicznej formuły "kościół ludowy". I na zakończenie tego tematu kilka przykładów niedobrych objawów "ludowości": szerczący się w naszych świątyniach kicz, jest na tle wielkiej tradycji sztuki sakralnej przede wszystkim żalonym świadectwem zaniedbania naszej troski o sacrum; postępująca "folkloryzacja" życia religijnego sprawia, że język niektórych obrzędów traci swą komunikatywność, staje się językiem martwym; język niedzielnej katechezy staje się zjawiskiem żyjącym własną autonomią, gubiącym związki z egzystencjalną rzeczywistością wiernych i przybierającą formę swoistej teologicznej nowomowy; słabsza część duchowieństwa otacza się "ludem" odstręcając jednostki głębiej przeżywające wiarę.

Innym niebezpieczeństwem dla chrześcijaństwa w Polsce jest swoista dominacja pierwiastka politycznego nad religijnym. Cała rzeczywistość - a więc i polityka - jest niezbywalnym środkiem wiary. Należy wszakże chronić wiarę przed przenikaniem do jej sedna materii środowiska, przed nasiąkaniem tożsamością ducha ciężarem doczesności. Jeżeli politykę uprawia człowiek i człowiek ten wierzy w Boga, to polityka i wiara spływają się w jego sumieniu w dramatyczną jedność nieustannych wyborów moralnych; i tak być powinno. Jeżeli natomiast dokonuje się w nas mechaniczne przemie-

szanie kryteriów aksjologicznych z jednej i prakseologicznych z drugiej strony, to będziemy mieli niechybnie do czynienia z fałszywą wiarą bądź nieskuteczną polityką, a nade wszystko - z nadużyciem i manipulacją. Owo mechaniczne przemieszenie porządków przydarza się w rezultacie zagubienia hierarchii wartości. Probiernem tego zamętu może być pytanie: kim jestem przede wszystkim - chrześcijaninem czy Polakiem? Wzbudza ono w nas rodzaj zażenowania niestosownością takiego prostackiego postawienia sprawy. Pachnie to jakąś sekciarską naiwnością, a my wolelibyśmy pozostać w świecie dojrzałej względności, wolni od przymusu wszelkich definitywnych deklaracji i wyborów. Może więc nam, chrześcijanom zanurzonym w osoczu relatywizmu potrzeba nieco ducha owej sekciarskiej naiwności, aby z przekonaniem opowie - dzieć się za prymatem wiary?

To nasze chrześcijaństwo nacechowane jest powierzchniowością i pozornością, zbyt dużo w nim sytuacji zastępczych, a zbyt mało świadectw; za bardzo uwikłane jest w zewnętrzność zjawisk zbiorowych a za mało wpisane w rzeczywistość losu osobowego i wspólnotowego. Tymczasem kościół posoborowy zdąży nieuchronnie, w cierpieniu i lękach ku zrębom swej tożsamości, ku swojej istocie. Odrzucając gorset interesów ze strukturami tego świata, wchodzi w związki z jego sprawami, opowiadając się po stronie człowieka prostego. Ten ruch ku odsłanianiu i przeżywaniu prawdy Kościoła Chrystusa - nie ma alternatywy, ale ma wewnętrzną opozycję. Doświadczenie historyczne narodu i Kościoła polskiego obarczyło naszą religijność pierwiastka mi narodowymi i patriotycznymi, a ostatnie lata nasyciły ją problematyką społeczną. Mamy tu do czynienia z bogactwem, ale bogactwem, które wciąga w wir wielkich i niebezpiecznych spraw tego świata, które przytłacza i przygłusza istotowe życie Kościoła.

Nienokój o nadmierne rozwijanie się pierwiastka politycznego w polskim Kościele wzbudzany jest przez obserwację wyłaniania się okoliczności sprzyjających nawiązywaniu ściślejszej współpracy państwa z Kościołem. Episkopat zdaje się dobrze wiedzieć, że w perspektywie schyłku XX wieku realne niebezpieczeństwo dla Kościoła w Polsce stanowi nie komunizm lecz liberalizm - ten sam liberalizm, który straszy ideologów partyjnych, a rozpala wyobraźnię części opozycji. Udział w pozbawionej treści fasadzie pochodu pierwszomajowego można bez kłopotu łączyć z uczestnictwem w procesji Bożego Ciała, i tak się też dzieje.

Natomiast doświadczenie wolności przeobraża gruntownie postawę wobec losu i świata, z którego Bóg musi ustąpić, bo w perspektywie odzyskanej wolności przestaje być koniecznością, a staje się trudnym owocem wyboru, wyboru wolność ograniczającego. Widmo liberalizmu może okazać się dobrym klejem taktycznego aliansu państwa z Kościołem w Polsce.

Władze mają ponadto inne jeszcze powody do szukania takiego sojuszu. Po pierwsze, w polityce wewnętrznej/ licza na udział Kościoła w nadawaniu konstruktywnych treści żywiołowym ruchom społecznym, które regularnie nawiedzają nasza ziemię. Po drugie, w polityce zagranicznej/ chodzi o współpracę episkopatu i władz w kreowaniu ich ról w strategii Watykanu i ZSRR, wobec problematyki europejskiej na tle konfrontacji Wschód-Zachód. Innowane stosunki państwo-Kościół i Watykan - PRL byłyby niezbędnym instrumentem tej gry, której pierwszą odsłoną byłaby wizyta Ojca Świętego w Moskwie. Oba oczekiwania Kościół polski jest chyba w stanie spełnić z pożytkiem dla narodu i sprawy europejskiej, ale zagraża mu zapłacenie ogromnej ceny duchowej. I na te koszty liczą strategzy partyjni, którzy w długofalowych planach niezmiennie zakładają eliminację Kościoła z polskiego krajobrazu. A te koszty to "sekularyzacja" Kościoła.

Co należy czynić, aby Kościół polski mógł spełnić swą dobrą misję narodową i europejską a jednocześnie i przede wszystkim wypłynąć nie zagrożony na czystsze wody autentycznej wiary?

Cociaż przyszłość pozostaje ostatecznie w rękach Opatrzności, przecież udziałem w Misterium naszej jedności z Chrystusem uczestniczymy twórczo-poprzez nasze jednostkowe wybory i wysiłki-w Historii i Historii Zbawienia. Ta prawda objawiona została nam w Dobrej Nowinie. Zatem optymizm i nadzieja przekazana jest chrześcijanom w treści i samym imieniu orędzia nowotestamentowego wraz z wezwaniem do uczestniczenia. Tego wezwania-kierowanego dzisiaj do człowieka może jak nigdy zagubionego na ogromnym targowisku pokus i zdezorientowanego wielością zwodniczych światłał -nie potrafię odczytać inaczej jak wielkiego programu ewangelicznego radykalizmu. A widzę go w dwóch aspektach: jasności i przemiany. Mamy czas moralnego obskurantyzmu, wieloznaczności i relatywizmu. Znaki stały się rozmyte, fałszywe lub szydercze. W tym cieniu znalazł się również Kościół. Jego przesłanie i świadectwo tożsamości gubi się gdzieś w zmechanizowanym i pustym języku katechezy, w niejasnej lojalności wielu jego sług /bogu czy mamonie?/, w pobudzaniu doznań i przeżyć zastępczych... Znaki Kościoła muszą przemawiać czystym blaskiem. Te czystość można osiągnąć tylko w drodze łaski i wysiłku przemiany serca. Ale przecież środowiskiem i jedynym świadectwem przemiany serca jest życie, życie przeistaczane. Tylko otwarte i dobre życie może być czystym i wiarygodnym znakiem chrześcijaństwa. Bez tego świadectwa wspólnota wyznawców Chrystusa byłaby skuczana na obumieranie, natomiast jasny i przejmujący znak stosu chrześcijańskiego staje się słowem nieodparcie nawracającym, słowem poszerzającym i pogłębiającym Kościół. Zatem życie ustanawia znak, ale i jasny znak służy życiu.

Myślę, że nie potrzeba przekonywać nikogo, komu los Kościoła leży na sercu, jak wielkie i inicjujące znaczenie dla odnowy chrześcijaństwa polskiego ma czystość znaku kapłaństwa.

F.P.

»PRZEŚWIT« ROZMAWIA Z JERZYM KROPIWNICKIM

B.B.: Po 10 latach spotykamy się w tym samym pociągu /"Odra" z Łodzi do Warszawy. Był Pan tym samym co dzisiaj człowiekiem, ale innym. Nastąpiła zmiana Pana sposobu życia? Czuł się Pan naszym reprezentantem, czy czuł Pan też rodzaj obowiązku, charyzmy, czy przymusu? Co to jest?

J.K. /śmieje się/. Widzi Pan - jest!

Wydarzeniem zwrotnym w moim życiu było pewne zebranie, które odbyło się na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ w końcu września 1980 r. Moja prywatna sytuacja była wówczas taka: miałem nagromadzone materiały do pracy habilitacyjnej. Byłem poprzednio na stażu naukowym za granicą, pracowałem tam solidnie. Przed wyjazdem na urlop w 1980 r., chcąc sobie stworzyć pewnego rodzaju przymus, napisałem kilka pierwszych zdań /podobno te są najtrudniejsze/, miałem poukładane fiszki, konsepty, wyraźnie określony program na najbliższy rok, przeprowadziłem już wstępne rozmowy w wydawnictwie. Wszystko miałem jakos tam ułożone. Sierpnia 80 roku tak bardzo z bliska nie widziałem, bo byłem na wakacjach, a wtedy z reguły nie czytam gazet, nie słucham radia, nie oglądam telewizji. Cały sierpień spadł na mnie, gdy wróciłem do Łodzi z wioski pod Krynica. Po powrocie zobaczyłem najpierw aktywne spotkanie szczecińskie przypominające podpisanie umowy międzynarodowej. A następnego dnia - takiego dziwnego niewysokiego człowieka z ogromnym długopisem, owieszanego jakimś znaczkami z wielkim różańcem na szyi, trochę egzotycznego w swej postaci i zachowaniu; można powiedzieć, że trochę swym wyglądem rażącego gusta estetyczne, ale dosyć szybko zrozumiałem, że przecież nie chodzi o kwestie smaku, tylko o rzeczy dużo ważniejsze.

Z początku traktowałem to wszystko, z grubsza biorąc, jako nieco głębszą lecz niewiele różniącą się od poprzednich odnowę. Jedną z tych, jakie miałem już okazję przeżywać. Choćby taką jak ta z roku 1970, w którą nawet przez pewien czas mocno wierzyłem. Była to dla mnie kolejna odnowa, do której dochodziłem z umiarkowanym optymizmem, z pewnego rodzaju pozytywnym cynizmem, ten znowu jest zamieszanie na górze - okazja, aby parę spraw popchnąć.

Ale nie widziałem dla siebie ani specjalnego miejsca, ani specjalnej roli, tym bardziej, że gdzieś 9 miesięcy wcześniej zrezygnowałem z dalszej związkowej kariery w Związku Kaucyścielstwa Polskiego /acz nigdy nie byłem na wysokim szczeblu tej kariery - byłem przewodniczącym na Wydziale przez dwie kadencje/. Coraz bardziej stawało się wyraźne, że to nie tylko nowa odnowa - kolejnym "pomoczenie? - pomożemy!", tylko, że jest w tym coś więcej. Szczególnie emocje budziła we mnie kwestia związków zawodowych. Może się to wydać dziwne, ale wierzyłem w możliwość istnienia w naszym kraju autentycznego, skróconego z administracją państwową i bezpośrednio pracodawcą związku zawodowego. Istnienia w sposób trwały. To moje przekonanie wynikało z osobistych doświadczeń amerykańskich. Tam związki zawodowe działają w warunkach niechęci otoczenia i nacisku niezbytlicznej propagandy. Byłem w Stanach w czasie, gdy trwał tam długi, prawie 100-dniowy strajk górników i

widziałem prawie wszystko, co można było zobaczyć: fałszywe przedstawianie powodów strajku w wielkonakładowej prasie, tendencyjne relacje telewizyjne, pomówienia, nieczyste zachowanie się policji, apele prezydenta do górników o poczucie patriotyzmu, uchwały Kongresu i sądowe nakazy przerwania strajku... I nagle przełom: żądania górników okazują się słuszne i w pełni godne poparcia, a cała sprawa możliwa do załatwienia. W miejsce propagandowego obrazu nienasyconego w swych żądaniach, nieodpowiedzialnego lumpa pojawił się obraz ciężko pracującego, solidnego, uczciwego pracownika, upominającego się o to "co mu się słusznie należy". Zaś reprezentanci związkowi górników niemal z dnia na dzień stali się "poważnymi mężami stanu". Wszystko to sprawiła wytrwałość górników i nerwowa odporność ich reprezentantów.

Później zrozumiałem, że tam owe niekochane związki zawodowe są traktowane jako trwały element amerykańskiego życia społeczno-politycznego oraz że ich wpływy są daleko większe od ich liczebności. Ze choć nie lubiani przez wielkonakładową prasę oraz przez telewizję, są nosicielami ważnych postulatów społecznych, pożądanymi sojusznikami we wszelkich inicjatywach społeczno-politycznych, a nawet w czasie wyborów do władz stanowych i państwowych. Każdy kandydat na prezydenta stara się zysnać poparcie choćby kilku związków. Związki mają pośrednie wpływy w Kongresie USA, w komisjach Senatu i Izby Reprezentantów, w Białym Domu...

Krótko mówiąc - wydawało mi się, że skoro tam władze i pracodawcy ich nie lubią, ale nauczyli się je szanować i z nimi współżyć - to może i tu?... Taka szansa na niezależne i samorządne związki zawodowe wydawała mi się oczywista. Taki reformatorski element w strukturze państwa i społeczeństwa.

Obcyte się zebranie pracownicze na Wydziale Ekonomicznym, w którego organizacji miałem duży udział /miałem jaki taki autorytet na Wydziale już wcześniej/. Część osób na sali wiedziała dużo lepiej ode mnie, o co chodzi. Byli koledzy, którzy organizowali tzw. punkt informacyjny na temat zakładania nowych związków zawodowych, i był już w nich ten święty zapał i ogień w oczach. Wyraźnie było widać tych, którym nie podobał się powiew odnowy.

W czasie tego zebrania, którego byłem współprzewodniczącym obok prof. Lutyńskiego, wygłosiłem przemówienie na temat tego, czym są, czym powinny być, czym powinny a czym nie powinny się zajmować związki zawodowe oraz na czym polega tzw. mechanizm kooptacji. Jest to pojęcie z dziedziny nauk społecznych, rozwinięte zwłaszcza w amerykańskiej nauce w związku z analizą tego, co się stało z przywódcami ruchów marzyńskich z lat 60-tych. Ci wielcy przywódcy owych czasów, stopniowo byli wysysani w system i umieszczani na odpowiednio prominentnych stanowiskach, zapominali, kto właściwie reprezentują: establishment wobec ruchu, który ich wyniósł, czy ruch wobec establishmentu.

Najbardziej dramatycznym faktem w tym procesie było to, kiedy w końcu lat 70-tych w Miami doszło do "dzikich" rozruchów ludności kolorowej. Jeden z tych wielkich, legendarnych przywódców lat 60-tych pojechał tam próbować znaleźć jakieś porozumienie z tymi ludźmi, został obrzucony jajkami i musiał stamtąd uciekać. On nie był ich reprezentantem. To już był reprezentant administracji. Ten sam mechanizm można było obserwować również w Polsce. Każdy, kogo coś tam wynosiło w momentach odnowy, stawał wobec kilku scieżek życiowych: niektórzy byli przekupywani, inni eliminowani fizycznie lub, tak jak GÓŁDZIŃSKI, przez kompromitację. Niektórzy dochodzili do Biura Politycznego czy do stanowisk mi-

nisterialnych. Po jakimś czasie stawali się reprezentantami administracji a nie środowiska ani nawet tej atmosfery, która ich wyniosła. Na tym zebraniu mówiłem o takich rzeczach dużo, o losach przywódców strajkowych 1970 i o własnych doświadczeniach. So ja do związków zawodowych wszedłem na fali "buntu miodych", na fali odnowy gierkowskiej roku 1971. Zostałem z sali zgłoszony do Rady Oddziałowej ZNF i zostałem przewodniczącym, a potem na własnej skórze odczuwałem tę próbę wchłonięcia przez system oraz przeobrażenia tak wybranej Rady w "ramię" i "pas transmisyjny". Z dużym trudem oparliśmy się temu.

Wtedy, we wrześniu 1980, o tych wszystkich procesach dużych i małych, ale mieszczących się w ramach tego systemu kooptacji oraz dróg, jakie do tego prowadzą, mówiłem. I wydawało mi się na razie, że mówię o związku zawodowym w ogóle. Nie byłem zdecydowany na przystąpienie do niezależnych samorządnych związków zawodowych, czułem bardzo silny związek emocjonalny ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego /może dlatego, że w ten sposób do niego wszedłem? /znanowałem ludzi, którzy byli we władzach uczelnianych, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że są to ludzie uczciwi, którzy chcieliby czegoś dla środowiska, którzy starają się nawet o to, ale funkcjonują w pewnym schemacie, w gorsecie krępującym ruchy a nawet myśli.

Na razie wydawało mi się, że możliwe jest zasadnicze zreformowanie tego związku.

Moje przemówienie było bardzo emocjonalne. W pewnym momencie sporządziłem na salę. Wydział liczył w owym czasie około 500 pracowników.

Prawie wszystkich znałem. Mogłem nie pamiętać, jakie niektórzy mają imiona, albo jakie noszą nazwiska, ale wiedziałem, z którego są zakładu, Instytutu, z której służby, ekipy, brygady - to identyfikowałem bez pudła.

Widziałem także i w innej warstwie - kto jest kto. Dla człowieka tak wrosniętego w ten Wydział, jak ja wówczas byłem, nie było tajemnicą, kto współpracuje z władzami bezpieczeństwa, kto jest dobrze notowany w Komitecie partyjnym, od kogo można dostać ewentualnie biuletyn KOR czy inną "bibułę".

Spojrzałem więc na tę salę i zobaczyłem, że już nie jestem w ZNF i nie ma możliwości, żebym tam był.

B.H. Co to było?

J.K. Po prostu zobaczyłem, gdzie "szczęśliki leżą na podłodze", a gdzie jest entuzjazm w oczach. Zobaczyłem, że to, co mówię do tych ludzi, z których część szanowałem, co do których uczciwości nie miałem żadnych wątpliwości - jest tak straszliwą herezją, że to nie mieści się w ogóle w ich systemie wartości. Gdybym ich traktował jako łobuzów... Raptem patrzysz, że człowiek, do którego nic nie masz, o którym wiesz, że groźna nikomu nie ukradł, o którym wiesz, że ilekroć była sprawa, która dotyczyła innych ludzi, mógłś na niego liczyć... Z jednej strony nie potrafili bym odmówić tym ludziom moralnego prawa do bycia w tym związku i reprezentowania go. Niewątpliwie mieli tam zasługi, włożyli w to ogromną ilość wysiłku, wiele uczciwości i zapału. Z drugiej jednak strony - zdaważyłem, że to, co mówię, jest dla nich w ogóle nie do przyjęcia, że w ich oczach ja ich zdradziłem, od nich odwróciłem, że to jest absolutnie niezgodne z tym, co oni wyznają. To był dla mnie wstrząs. Bardzo duży wstrząs. Jak popatrzyłem w tę twarz, zobaczyłem nagle, gdzie jestem. So do tej pory tylko ja nie wiedziałem gdzie jestem, natomiast wszyscy obecni na tej sali wiedzieli. Niektórzy z tamtych ludzi też zabierali głos na tym zebraniu. Słuchałem i uszom nie wierzyłem. Oni nie nie roz-

mieli i nic nie chcieli zrozumieć. Dla nich problem sprowadzał się do tego, czy się ma zaufanie do ludzi sprawujących funkcje związkowe na uczelni, czy się ma konkretne zarzuty do konkretnych osób. Jeśli tak - to zrobimy nowe wybory i będzie po nowemu. Czuli się osobiscie dotknięci, chcieli rezygnować... Pluralizm związkowy? Po co? Przecież mamy dobry związek. Z tradycjami.

Na razie jednak nic się nie zmieniło. Leżała u mnie w domu sterta papierów z dwoma zdaniem na pierwszej stronie - początek habilitacji. Leżały dwa pojemniki z fiszkami, leżała sterta konspektów, wyciągów z książek w obwolucie papierowej, na której starannie wypisałem "Rozdział I".

Wiedziałem, na razie, że muszę przyłożyć się trochę do tego, żeby to się uruchomiło w dobrym kierunku. Żebyśmy przyłączyli się do tego, co się dzieje dobrego w Kraju. Po czym wrócę w zacisze domowe i zajmę się pracą naukową.

Kilka dni później odbyło się zebranie organizacyjne niezależnych samorządnych związków zawodowych, organizowane przez kolegów, którzy założyli i prowadzili punkt informacyjny o nowych związkach: Jurka Drygalskiego, Jacka Kwasniewskiego i Macka Tripnera. Poszedłem na to zebranie po długich wahaniach, bo jakby jeszcze nie do końca się pogodziłem z tym, że tanto jest nieremowalne po prostu i że: "nie będziesz lał nowego wina w stare beczki". rozszedłem z imperatywu moralnego. Byłem świadkiem rozmowy dwóch ludzi, których wówczas bardzo szanowałem. Jeden z nich powiedział, że on do tych niezależnych samorządnych nie ma zupełnie przekonania, ale przecież jeśli ci młodzi chłopcy, którzy tu są, zostaną na widelcu, to będzie z nimi bardzo źle, i tutaj trzeba wejść, żeby ta ich szlachetna próba nie skończyła się wywaleniem z Uczelni. Był to wrzesień 1980. Takie były wtedy obawy.

Otwierdziłem, że też muszę tak postąpić. Dzisiaj autorytet Drygalskiego i Kwasniewskiego na wydziale olbrzymi. Wówczas byli młodymi asystentami, którzy niedawno skończyli studia. Przez niektórych traktowani jako niepoważni, awanturnicy, smarkacze w strukturze uniwersyteckiej. Emocjonalny, ekspresywny sposób zachowania dodatkowo zyskiwał im niechęć "ludzi poważnych",.

Mam zwyczaj zastanawiać się, jeśli coś robię, czy się tego kiedyś nie będę wstydził. Czuję, że jeśli bym w tamtym czasie nie nadstawił swojego tyłka w sprawie, na której mi zależało, to kiedyś bym się tego wstydził. Przyszedłem na to zebranie. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że znowu jestem współprzewodniczącym zebrania. Rzecz była dość prosta. Zdecydował skład zebrania. Tzw. samodzielnych pracowników zauważyłem dwóch, resztę stanowili stażysty, asystenci, starsi asystenci, kilku adiunktów, sprzętaczki, pracownicy służb pomocniczych, elektrycy... traktowano mnie jako zawodowca w zakresie prowadzenia zebrania, którego fachowość i uczciwość rzemieślnicza została dowiedziona. W atmosferze tamtych dni było coś, co obudziło moją intelektualną ciekawość. To też był jeden z motywów pójścia na to zebranie. Zobaczyc, jak to się rodzi i co z tego wyniknie, zobaczyc proces w ruchu. Dla mnie było to zawsze frapujące.

Kiedyś przejechałem się autobusem przez Harlem mimo wszelkich ostrzeżeń w tym względzie, kiedyś w USA towarzyszyłem jakiejś manifestacji przeciwko szachowi Iranu, rozpadzonej przez policję amerykańską. Kiedy indziej przyglądałem się imprezie organizowanej przez tzw. koalicję na rzecz 1 Maja w Stanach Zjednoczonych. Zawsze mnie pociągało oglądanie dramatycznych momentów, wydarzeń społecznych. Narodziny procesu - to wielka gratka.

Na zebraniu tym trzeba było dokonać wyboru tymczasowych władz wydziałowych niezależnego samorządnego związku zawodowego oraz wybrać delegatów na zebranie uniwersyteckie. Nie zamierzałem kandydować do władz. Zgownie z nowymi zasadami była odrębna lista kandydatów na przewodniczącego, odrębna lista kandydatów do zarządu tymczasowego /nazwy jeszcze wtedy nie były uregulowane/, odrębna lista delegatów na zebranie uczelniane. W pierwszym rozdaniu nie zgodziłem się wejść ani na jedną, ani na drugą, na trzecią oczywiście tak! Chciałem zobaczyć tamto zebranie. Na liście kandydatów na przewodniczącego pojawiło się 8 nazwisk, m.in. nazwiska wszystkich trzech kolegów, którzy mieli największe do tego prawo, bo ciągnęli od początku września punkt informacyjny. Wszyscy na obowiązkowe pytanie - czy zgadzasz się kandydować?, odpowiedzieli: nie! 8 razy nie! Lista nazwisk kandydatów na przewodniczącego została starta gąbką z tablicy. Ponowne otwarcie listy zgłoszeń kandydatów. Znowa jest 7 nazwisk. Sytuacja się powtarza. 7 razy nie! Wtedy coś we mnie zagrało. Bardzo się zdernerwowałem i wygłosiłem jedno z najbardziej emocjonalnych, zaimprovizowanych przemówień w moim życiu. Sens tego mniej więcej taki, że jeśli ktoś odczuwa jakieś skrepowanie z tego względu, że jest to niby pchanie się na stanowisko, to jest to nie na temat, bo koniec końców chodzi tu o zgodę na nastawienie tyłka i cały proces, który się teraz odbywa jest dużo ważniejszy niż prywatne, niezwykle ważne plany, i że przynajmniej na ten okres przejściowy, tzn. do czasu, kiedy będą wybory w organizacji, która powstanie, należałoby wszelkie ambicje prywatne lckowane gdzie indziej, inne plany życiowe, odstawić na bok, bo przecież to, co się dzieje w Gdańsku i całym kraju, świadczy o tym, że jest to szansa dużo większa niż rok 70-ty.

Gdańsk był dla mnie symbolem nowego zjawiska. Byłem już na jakimś zebraniu wprowadzony tylnymi drzwiami jako kierowca jednego z uczestników DIP i tam słyszałem sprawozdanie Mazowieckiego, Geremka z rokowań w Stoczni Gdańskiej oraz Tymowakiego ze stoczni szczecińskiej. Nie chcę mówić o tych wszystkich sporach politycznych na temat kto, gdzie, jak i co. W 1980 r. dla mnie jakością było to, że oto został przełamany pewnego rodzaju kompleks, tzn. przynajmniej część tej elity intelektualnej cnciała i znalazła się tam, gdzie trzeba. /Część nie zdołała dotrzeć, gdyż zostali przez policję przytknięci/. Dla mnie było istotne, że oto kompleks z 1968 i 1970 r. został przełamany. W Komitecie Strajkowym Stoczni Gdańskiej przedstawiciel Politechniki Gdańskiej zasiadał w Prezydium. Wajda powiedział piękne zdanie. Kiedy po wyjściu ze Stoczni Gdańskiej zapytano go, po co tam pojedechał, odrzekł: "Tam mnie zapytano inaczej - dlaczego tak późno?" Dwaj młodzi filmowcy dostali się na teren Stoczni z kamerą i zrobili film "Robotnicy '80". To wszystko miało znaczenie. Pojawiła się szansa na zniknięcie tego fatalnego kompleksu wytworzonego w społeczeństwie, zwłaszcza przez telewizję. Dla środowisk inteligentnych robotnik jawi się jako przygłup, deklamujący przed kamerą slogany o jedynie słusznej polityce partii i chorobliwie niechętny wszystkiemu co nie-przeciętne. Z drugiej strony telewizja tworzyła stereotyp inteligenta, który z kolei prawdopodobnie dociera do robotników: elegancki pan w krawaciku, odpowiednio utytułowany i elokwentnie uzasadniający słuszność każdej decyzji partyjnej i wmawiający ludziom, że jest dobrze, coraz le-

piej.
We własnym środowisku człowiek wie, kogo pokazują, ale kogoś z innego środowiska traktuje jako reprezentanta, typowego przed-

stawiciela. Stąd narastały w społeczeństwie wzajemne niechęci, uprzedzenia, wrogość. I raptem to zostało przekamane i to był dla mnie cud. Cud, którego nie wolno było zmarznąć. O tym wszystkim mówili wówczas na tym zebraniu organizacyjnym.

Podezłem do tablicy, która była pusta i tworzyłem na nowo listę. Powiedziałem, że żadnym rezygnacji nie przyjmuję do wiadomości. Pojawilo się od nowa pięć nazwisk, w tym moje. Nie było w tej piątce żadnego nazwiska z tych organizatorów, dlatego że wszyscy trzej powiedzieli wcześniej, że to by kolidowało z obowiązkami, które przyjęli w MKZ-cie Ziemi Łódzkiej /pracowali w grupach organizujących związek/. Wobec tego im pozwolono nie kandydować i to uszanowano. Ja natomiast znalazłem się na tej liście i wpadłem we własną pułapkę. Wygrałem te wybory w pierwszym podejściu.

Za kilka dni było zebranie uniwersyteckie. Tam Stefan Niesiołkowski zaproponował mi najpierw, żebym zgodziłem się na prowadzenie zebrania, jako "fachowiec". Zgodziłem się. Potem mnie spytał czy zgodzę się kandydować na przewodniczącego, bo on z jakichś względów nie chciałby. Zgodziłem się z jednego powodu. Uważałem, że jednostką samodzielną jest Uniwersytet, a nie Wydział. Wydawało mi się, że zdołam pogodzić swoje plany naukowe z tą kilkumiesięczną, jak mi się wówczas wydawało, kadencją mającą na celu przygotowanie statutowych wyborów; pod warunkiem, że to ja będę rozdziałał robotę. Potem Stefan zmienił zdanie i zgodziłem się kandydować, ale ja te wybory wygrałem. Przystąpiłem do przygotowania organizacji uczelnianej - obudowywania jej komisjami, podkomisjami, zespołami ad hoc... Szło mi to niezłe. Po kilkunastu dniach zaczęło to już na tyle nabierać własnego rytmu, że miałem szansę na naukę...

Na mój wniosek przyjęto, że przewodniczący NSZZ "Solidarność" nie będzie reprezentantem Związku w kolegiach rektorskich i nie będzie chodził na zebrania senatu. Gdy stanęła kwestia ułożenia stosunków z ZNP, delegowano kogoś z kolegów. To oszczędziło mi wiele czasu, choć oszczędność czasu nie była tu najważniejsza. Była nim natomiast chęć uodpornienia tej funkcji na mechanizm kooptacji. Uważałem, że przewodniczący związku musi mieć dystans, że należy go chronić przed niebezpieczeństwem nabycia lojalności w stosunku do ciak, w których jest przedstawicielem i decyzji tych ciak. Żeby w którymś momencie z przedstawiciela i decyzyjnego kolegium rektorskim nie poczuł się członkiem kolegium rektorskiego i jego przedstawicielem w związku. Zaczynałem więc mieć czas - ale nie na długo.

Następne "wdepnięcie" zaczęło się od kolejnej mojej rozmowy ze Stefanem Niesiołowskim. Powiedział mi, że MKZ potrzebuje ludzi, konieczne intelektualistów, konieczne z uniwersytetu, konieczne prawników, ekonomistów, socjologów, i że trzeba, żeby przedstawiciel uniwersytetu wszedł do prezydium MKZ. Powiedziałem, że najbardziej odpowiednim przedstawicielem UL w MKZ będzie właśnie on, a współpracowników - specjalistów znajdziemy bez kłopotu. Stefan jednak uważał, że jego osoba stanowiłaby zbyt wielkie obciążenie dla tego nowego związku, ponieważ miał przeszłość opozycyjną w "Ruchu", miał już określony, jak to się wtedy mówiło, plakietkę, no i czuł się nią skrępowany. "Jeszcze na Uniwersytecie, we własnym środowisku, tak, ale gdzieś... to może spowodować skompromitowanie związku". Odbiliśmy długą rozmowę. To był drugi moment, w którym miałem świadomość, iż moja kariera naukowa zostaje w sposób poważny zagrożona. Jeszcze na uczelni, w znanym sobie środowisku, wśród ludzi, którzy mają jakieś nawyki organizacyjne, to było do ułożenia, ale wiedziałem,

że gdy wejść do MKZ-tu Ziemi Łódzkiej, to jestem utopiony. Zdawałem sobie bowiem sprawę, jak potworna tętni tam dynamika. Tam już nie będzie luzu. Co gorsza - nie potrafiłem wyobrazić sobie bliskiego terminu wypłaty się stamtąd. Na uczelni - wiedziałem: w styczniu, najdalej w marcu będą wybory i będę wolny. W Regionie, w Związku, który co kilkanaście dni podwajał liczbę organizacji zakładowych i liczbę członków - perspektywa wyborów odsuwała się dla mnie w nieskreśloną daleką przyszłość. A z nią moja kariera naukowa. Z dużą niechęcią, ale na kolanach poszedłem na zebranie MKZ, odbywające się w atmosferze wieceu, napięcia, zaangażowania, bardzo wyraźnie ujawniających się emocji. /Ja wtedy byłem jeszcze spokojny człowiek, bardzo spokojny/.

Ten "wiec" włączył mnie w skład prezydium MKZ-tu. Przeszedłem na pierwsze zebranie. /W dalszym ciągu na kolanach, w stosunku do tych ludzi, którzy wcześniej niż ja mieli odwagę/. Po pierwsze zebranie było dla mnie wyjątkowo przykre, bo właśnie wtedy Słowik wyrzucił Palkę z prezydium MKZ-tu... Ale to jest temat sam w sobie, nie na dzisiejszą rozmowę.

B.B. Może jest to wątek zbyt agresywny w stosunku do całości.

J.K. Jeśli do tego wrócimy, to może potem, dość, że cała ta sytuacja wydawała mi się dziwna, oparta na nieporozumieniu... W każdym razie Palka jednego dnia został wyrzucony, następnego dnia przywrócony.. Początkowo wydawało mi się, że idę tam z tym, o czym rozmawiałem ze Stefanem - z zadaniem organizowania kursów i szkoleń. Niestety, na drugim zebraniu Prezydium zabrakło głosu na temat stosunku MKZ do prasy oficjalnej. Dziwiła mnie ta panująca tam taka nadmierna, w moim przekonaniu, ostrożność w stosunku do prasy.

Za swój, taki niegłoszony wtedy, program pragmatyczny uznałem też doprowadzenie do tego, żeby zebrania MKZ - zebrania przedstawicieli zakładów pracy bardziej zaczęły przypominać zebrania niż wiece. Istnieją przecież procedury demokratyczne, które ułatwiają artykulację woli zebranych, przeobrażanie wypowiedzi w projekty uchwał, ustalanie stanowiska większości, przeobrażanie go w uchwały. Problemem było już samo upełnienie dyskusji, żeby prawa do zabierania głosu nie wynikały z tego, kto ma silniejsze łokcie i bardziej doniosły głos.

Powierzono mi w MKZ-cie prowadzenie kilku kolejnych zebrań i udało mi się tam rzeczywiście to jakoś powiedzieć. W przerwie jednego z tych zebrań dowiedziałem się od Palki, że właśnie "Oni" zebrałi się gdzieś za kulisami i postanowili, że ja będę rzecznikiem prasowym MKZ-tu. Nie miałem żadnej koncepcji, jak to zrobić. Pobiegałem po kolegach i zorganizowałem ekipę spośród osób, które - jak mi się wydawało - mogły być w tym pomocne: prawnika, dwóch kolegów z Wydziału śląskiego języki obce /angielski i francuski/, lektora języka niemieckiego. Zorganizowałem ekipę i zaraz się rejestrowałem w Związku i zaraz potem 11 listopada był w to-dzi Lech Wałęsa.

Obsługa prasowa pobytu Lecha w Łodzi była jednym z pierwszych zadań, jakie spadły na tę moją ekipę. Rejestracja Związku była dla mnie prywatnie ogromnie ważnym przeżyciem. To wtedy, w związku z nią zacząłem się radykalizować. Pierwszy kryzys związany z rejestracją był dla mnie wstrząsem bardzo poważnym. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego władza przeciąga ten proces. Potem silnie przeżywałem problem czy "kierownica" będzie w statucie, czy nie będzie. Nie rozumiałem, po co to władza robi. Wydawało mi się, że to jest zupełnie niepotrzebne zaostrożanie przez Sarta stronę sytuacji.

Odbyło się zebranie MKZ w kwestii rejestracji. W momencie, kiedy Słowik powiedział, że władza keniecznie chce mieć w Statucie ten punkt o kierowniczej roli, podniósł się olbrzymi krzyk, że o kierowniczej roli w statucie nic nie powinno być, że w ogóle nie wolno zmienić przeliczania w stosunku do tego, co zostało przyjęte w Gdańsku. To było dla mnie silne przeżycie. Kównie silnego /choć innego/ przeżycia dostarczył mi Sąd Wojewódzki w Warszawie, który w tym postępowaniu rejestracyjnym z całą bezczelną otwartością ujawnił, że jest marionetką. Chyba w tym momencie uswiadomiłem sobie, że wszelkie analogie do sytuacji związków zawodowych w USA są nic niewarte. Tam jest praworządność. I wyraźne są strony sporu. Jest związek i są pracodawcy. Czasem jest rząd - w zakresie określonym prawem. I nawet jeśli jest stronniczy, to musi być praworządny.

Przy okazji tego procesu rejestracyjnego po raz pierwszy tak wyraźnie uswiadomiłem sobie straszliwą niepraworządność tego systemu, jego pogardę dla prawa, dla reguł gry, jakie przecież sam ustanowił. Całe postępowanie władz w czasie powstawania związku to przecież jeden wielki skandal. Najpierw przedstawiciele rządu i partii negocjują czy rząd będzie respektował konwencje międzynarodowe ratyfikowane przez Sejm. Potem Wicepremier zobowiązuje się, że Rada Państwa uchwali odpowiednie akty prawne /nie leżące w jej kompetencji/, żeby umożliwić rejestrację. Sąd Wojewódzki bezprawnie wnosi poprawki do przedłożonego statutu, a uchwała Sądu Najwyższego zapada po rozmowach przedstawicieli związku z przedstawicielami władz partyjno-rządowych. Jeszcze gorzej wyglądało to później. W przypadku związku rolników indywidualnych: minister się zobowiązał, że Sejm uchwali a sąd zarejestruje. Coś takiego w praworządnym kraju do głowy nikomu by nie przyszło.

Być może śmieją Pana te moje "odkrycia" wówczas poczynione? Nic na to nie poradzę. Były to dla mnie wówczas wstrząsy i odkrycia. Państwo, Ojczyzna, Prawo, "Polak z Polakiem..." proszę Pana ja naprawdę wierzyłem, chciałem wierzyć, że we władzach są ludzie, dla których te słowa znaczą równie dużo jak dla mnie. Uważałem, że jest tam być może paru kobuzów i zdrajców, trochę tepego betonu, ale większość to ludzie tak samo czujący, wyznający podobne wartości.

I jeszcze jedno: nie uwierzy Pan, ale zaczynałem działalność w NSZZ "Solidarność" z przekonaniem, będzie to wyłącznie związek zawodowy. Owszem wiedziałem, jak każdy, że w Porozumieniach Sierpniowych są i inne sprawy - od cenzury po reformę gospodarczą - i że związek chce i musi je popierać, ale że nieś je będą inne grupy, środowiska, organizacje. Szybko okazało się, że to nie tak. Że tylko Maza św. przez radio została zrealizowana bez bezpośredniego nacisku Związku. Pozostałe sprawy wymagają bezpośredniego zaangażowania.

Związek zawodowy stał się Narodowym Biurem Interwencji we wszystkich sprawach. Nawet gdy chodziło o gnijące poridory w w spółdzielczym magazynie czy towar chowany pod ladą.

Szybko też okazało się, że Związek nie może istnieć w niezmiennym otoczeniu. Że istnienie niezależnego związku zawodowego stawia ostro problem praworządności. Że sprawa cenzury, że kwestia dostępu do radia i telewizji, że wolność słowa, strajki, zgromadzeń, manifestacji - że są to sprawy wymagające albo nacisku na nową regulację prawną, albo nacisku na realizację tego do tej pory prawa. Coraz bardziej okazywało się, że aby związek był związkiem, trzeba, aby Polska była Polską - krajem demokratycznym i praworządnym. Związek stał się ruchem Janowy.

Gdyby ktoś wtedy mi powiedział, że jestem opozycjonistą - przyjąłbym to ze zdziwieniem, a może nawet z oburzeniem. Przed sierpniem nie byłem w żadnej opozycji. KOR, ROBCzIO, KPN, - znalem tylko z relacji Wolnej Europy, Głosu Ameryki i BBC. Oraz z oficjalnych paszkwili. Dokładniej mówiąc - miałem kilkakrotnie w ręku Biuletyn KOR, raz dałem składkę na pomoc dla robotników z Radomia, przeczytałem dwie książki wydane przez NOWĄ. Gdy słyszałem przez radio protesty podpisane przez ludzi nauki - drżałem żeby nie przyszli po podpis do mnie. Wiedziałem, że nie potrafię odmówić i bałem się tego. Strach często skłania ludzi do obrzucania błotem tych, którzy są od nich odważniejsi. Jak się coś splugawi - znika problem odwagi, odzyskuje się spokój sumienia i szacunek dla siebie. Udało mi się tego uniknąć.

W latach 1980-82 mój stosunek do KOR zmieniał się z pełnego czokobitności na wielce nieprzychylny. Dopiero w stanie wojennym pozbyłem się tej niechęci. Nabyłem jej w MKZ-cie. Na początku października, gdy rozpoczynałem pracę w Prezydium, MKZ był w ostrym konflikcie z KOR, a dokładniej z łódzkim środowiskiem korowskim. Różne były tego przyczyny. Jedną z istotniejszych związanych była z powstaniem MKZ. Tak się złożyło, że w tym samym dniu i o tej samej godzinie w dwóch różnych miejscach łodzi powstały dwa MKZ-ty. Jeden, w mieszkaniu Grzegorza Palki, został zawiązany przez przedstawicieli MKP i kilku innych komitetów strajkowych. Drugi zorganizowali korowcy - opowiadał mi o tym Witek Sułkowski - zbierając kolporterów "Robotnika". Następnie przez kilkanaście dni trwała w Gdańsku przepychanka. Ostatecznie wygrał MKZ Słowicka i Palki, a w zwycięstwie dopomógł fakt, że ten MKZ powiadomił o swoim istnieniu prezydenta łodzi. Dla naszego gdańskiego biurokraty kopia owego zawiadomienia z pieczęcią kancelarii urzędu miasta była argumentem przesądzającym.

Ten spór o MKZ wytworzył wiele wzajemnych niechęci. Potem Tomek Filipczak i Witek Sułkowski przegrali z Andrzejem Woźnickim i Benedyktem Czuma konkurencję o biuletyn MKZ. Wprawdzie Tomek i Witek mieli więcej wiedzy i umiejętności w tym zakresie, ale Andrzej i Benedykt okazali się szybsi oraz zadeklarowali peźniejszą niż KOR lojalność w stosunku do MKZ. To był kolejny powód napięcia stosunków, bo Benedykt i Andrzej byli działaczami ROBCzIO, a stosunki między KOR a ROBCzIO w tym czasie były bardzo złe. KOR nie zdołał również wprowadzić swoich przedstawicieli do grupy ekspertów MKZ. Przedstawiciele ROBCzIO i ruchu Wolnych Demokratów potrafili znaleźć drogę do komitetu strajkowego MKP i na zebranie organizacyjne u Palki. Poza tym ich formuła rozdzielania działalności w opozycji politycznej i w "Solidarności" była bardziej atrakcyjna dla MKZ niż formuła integracyjna KOR. Ich niechęć do KOR stworzyła kolejną barierę dla współpracy. Działacze KOR zareagowali na sytuację atakami na MKZ i groźbami usunięcia go z oparcia o zakłady włókiennicze, w których zdobyli duże wpływy. Byłem świadkiem jednej z takich awantur. Po wymianie okrzyków: "włókiennicze miotłami was stać wymiotą!" i "zobaczymy - a na razie won z tego lokalu" stosunki uległy skrajnemu zaostrzeniu. Potem było odgrzeszenie przed rokowaniami o "wałesówkę" w listopadzie 1980, ale korowcy zmarnowali szansę. W komisji włókienniczej mieli duże wpływy. Przygotowali /bardzo dojrze i sprawnie/ rokowania i zorganizowali komitet strajkowy w zakładach "Marchlewskiego", a następnie dali odczuć członkom Prezydium MKZ, że nie mają tam czego szukać. Po tych rokowaniach wzajemna wrogość była już nie do przełamania. I to pomimo tego, że w grudniu nastąpiło dramatyczne rozstanie MKZ z ekspertami z RWD, którzy popełnili stary błąd belferski, nie zauważyli, że "ci młodzi niedoswiadczeni

chłopcy" dojrzewają w przyspieszonym tempie i z coraz większym trudem znoszą "ojcowską ingerencję" w dyskusje i decyzje. I mają świadomość, że to oni ponoszą odpowiedzialność za decyzje. Ten błąd w zachowaniach ekspertów był powszechny, obecny nie tylko w Łodzi, ale i w Gdańsku. Na propozycję zmiany układu stosunków eksperci zareagowali /nie tylko w Łodzi/ obrazą. Ci nasi odeszli w sposób, który uniemożliwił dalszą współpracę. Niektórych poprosiliśmy ponownie do współpracy po kilku miesiącach, ale już na innych zasadach, jako doradców, a nie jako "tatusiów i nauczycieli". Działacze ROBCzIO, mimo, że dużo młodszy wiekiem, a może właśnie dlatego, okazali się mniej wrażliwi i przyjęli nową formę współpracy. Nowa formuła zawierała m. in. otwartość na wszystkie środowiska i orientację.

Do dramatycznego rozstania z ekspertami doszło w grudniu, ale konflikt narastał od października. Korowcy nie umieli skorzystać z szansy, brnęli w działania odbierane w Prezydium MKZ jako dążenie do przewrotu wewnątrzwiązkowego. Do tego doszły spory o sprzęt poligraficzny w Gdańsku... Czerwcowe wybory nie rozwiązały konfliktu. Korowcy przegrali wybory do Zarządu, ale opanowali Komisję Rewizyjną. Popisała się ona m. in. wymuszeniem zwrotu do banku "zadziowanych" przez Prezydium ZR pieniędzy na kilka dni przed stanem wojennym... Jeśli chodzi o mnie, jako "notorycznie bezpartyjny", nie miałem szczególnej niechęci do żadnej z opozycyjnych orientacji politycznych. Ponieważ zaś lubiłem symetrię, to "dla równowagi" popierałem nie tylko ROBCzIO-wsko - RMP-owską redakcję "Solidarności" Ziemi Łódzkiej", ale i prokorowską redakcję "Poglądów". Łódzkich "korników", z małymi wyjątkami, bardzo nie lubiłem... Stan wojenny wiele tu zmienił.

Ale wracam do moich losów w "Solidarności". Zgodziłem się przyjąć funkcję rzecznika prasowego. Sądziłem, że moje obowiązki będą polegały na zapewnieniu bezpieczeństwa w kontaktach z prasą oficjalną. Że będę się zajmował akredytacją dziennikarzy krajowych i ew. zagranicznych, dostarczał im informacji o działalności Związku w regionie, ułatwiał kontakty z działaczami, pilnował autoryzacji wypowiedzi, organizował konferencje prasowe.

Tak mi się wydawało, aż do "kwestii wolnych sobót", kiedy to wyoucha kryzys informacyjny. Ten kryzys ujawnił mi, że muszę przejąć odpowiedzialność - de facto - za informację. I tak oto połączenie funkcji rzecznika prasowego z funkcją członka prezydium MKZ - odpowiedzialnego za informację wewnątrzwiązkową - dokonywało się we wszystkich regionach. Po jakimś czasie okazało się, że i za propagandę też muszę odpowiadać. Dlaczego tak było? Trudności kadrowe wynikały z zasady funkcjonowania tych "początków demokracji". Wybory do MKZ-tu dokonywały się na wiecach. Ludzie wynierający więcej czuli niż wiedzieli o wybranych. A wybrani trafiaли do innych funkcji niż te, do których byli wybierani. Ci, którzy np. biegali od zebrania do zebrania i rozstawiali po kątach różne dyrekcje zakładów pracy - nie bardzo potrafili wykazywać się systematyczną robotą, a jeżeli nawet - to tą, do której zostali wybrani. To zjawisko doprowadzało w efekcie do tego, iż taki np. Grzegorz Palka w którymś momencie miał praktycznie biorąc 40% działalności MKZ-tu w swoich rękach, mimo że teoretycznie odpowiadał tylko za wydział organizacyjny.

B.B. Czy nikt z was nie wleciał wtedy, że była to gra w chowanego z PZPR, PRL czy nawet z językiem, którego używaliście dla nadawania sobie nazw? Bo to nie był żaden związek zawodowy. Co to było?

J.K. Sprawa nie jest prosta dlatego, że emocjonalnie biorąc, dla wielu ludzi był to związek zawodowy. Dla mnie bez względu na

nazwę, jaką przyjęli, kręgosłupem "Solidarności" pozostanie związek zawodowy.

B.B. Kręgosłupem jest coś innego. Ale dla kamuflażu możemy "Solidarność" nazywać po inteligencku czy w nowo-mowie - związkiem zawodowym...

J.K. To nie jest takie proste. Ludzie rzeczywiście - i po zakładach, i w środowiskach typowo inteligenckich - mieli tych spraw pracowniczych, kadrowych na pęczki. Jeżeli popatrzymy na te postulaty typowe pracownicze, które się wtedy pojawiły, to tego było na teny. Jeżeli chcemy powiedzieć, że dla wielu ludzi ten związek zawodowy był instytucją, która mogła w tym momencie oficjalnie zaistnieć, to to jest prawda. Prawdą też jest, że ciśnienie polityczne, jakie wówczas istniało, powodowało, że utworzenie jakiegokolwiek instytucji poza "Solidarnością" kończyło się wchnięciem jej w "Solidarność". Najlepszy przykład z Komitetem Obrony Więziennych za Przekonania. Przecież on powstał poza "Solidarnością". "Solidarność" nie chciała mieć organizacyjnie z tym nic wspólnego, lecz została wchnięta w jej struktury.

B.B. Więc właściwie zostaliście skazani na to, żeby nie być związkiem.

J.K. Tak... Albo coś takiego. Facet wozi ciężarówką chleba. Tu mu nie przyjmują, tam nie przyjmują. Na pełny samochód chleba w chwili, kiedy chleba w mieście nie można dostać. A on jeździ z tym chlebem, jak głupi, po mieście. Wreszcie przyjeżdża nie do prokuratora, nie do prezydenta, tylko do KZ-u. Zaczynamy więc być narodowym biurom interwencji. Musimy się brać za rzeczy, których nikt nie załatwi.

B.B. Jest to dobra i współczesna nazwa na to, o co chodzi w moim wcześniejszym pytaniu.

J.K. Na to, żeby związek mógł się koncentrować na sprawach pracowniczych, trzeba najpierw zmienić - w sferze obowiązujących dotychczas zasad - to i to, i tamto: dziedzinę prawa prasowego, prawa karnego. Okazuje się szybko, że "Solidarność" jest to jedyna siła, która ma nieść reformę. To nie jest tak, że jest to tylko realizacja jednego z punktów porozumień gdańskich, a pozostałe będą realizowane pod nadzorem tych komisji mieszanych i będą się instytucjonalizowały, bo okazuje się, że NSZZ jest to w ogóle jedyna siła, która może reformę pchnąć. Ten realny układ jakiejś nadstruktury, jaką stawała się "Solidarność" widac nawet w tym, że z NSZZ można łatwo wywieść dążenia. Wszystkich ludzi, których utożsamiano z koncepcją tzw. "Tronu", która to koncepcja pojawiła się gdzieś w kwietniu 1981 r., po kryzysie marcowym, tzn. koncepcja Tymczasowego Rządu Odręczenia Narodowego. Ze taka "nadstruktura", to obrastanie związku zawodowego czymś innym nie budziło zaufania, świadczyły reakcje delegatów na I Zjazd NSZZ. Sala nie była w stanie zaakceptować np. politycznych koncepcji "Tronu". Sala w dalszym ciągu rozumowała: my tu, władza tam. Choć można znaleźć jeden dowód przeciwny w tym względzie, mówiący o jakimś nastawieniu szerszym niż związkowe. Tym dowodem jest to, że Palka zdobył wtedy dużą ilość głosów, tam w Oliwie... W jakim stopniu ta popularność była związana z jego stwierdzeniem, że powinniśmy sobie stworzyć gwarancje realizacji porozumień międzynarodowych oraz pozostania w Pakcie Warszawskim? Czy mieliśmy więc, jako zbiorowość związkowa, aspiracje szersze? Tak, to jest prawda. I być może to miało jakiś sens, ale ten nieuchwytny wtedy sens, nakazujący myśleć tak: że trzy-

ba by wykreować jakąś postać władzy, która by stała na czele... itd.

B.B. Ale skoro fascynujemy się obydwaj społecznymi procesami, to zastanówmy się nad taką hipotezą: czy nie było to - w 1980 i 1981 r. - ściernie się tendencji żywiołowej, oddzielnej: "stworzymy konfederację społeczeństwa". Wiemy, co to jest konfederacja w tradycji europejskiej, prawda? Wasi reprezentanci obawiają się, czy aby nie za dużo? W związku z tym wy proponujecie: wszystkie, ale po kolei. Natomiast parolę oddolną brzmi: "wszystko i od razu". I tu może następuje mechanizm hamowania obcego napierania... Dlatego teraz chciałbym zapytać o marsz głodowy. Jak wyglądał mechanizm? Czy to był jeden, czy dwa procesy - ściernące się ze sobą?

J.K. To proces a dużej dynamice. Ale wróć jeszcze do poprzedniej kwestii. Radykalizm i chęć parcia - we wszystkich sprawach układały się przeciwnie. ramiętamy, co Wałęsa powiedział po kryzysie marcowym, kiedy znalazł się w pierwszym, poważnym konflikcie z KKP. Powiedział, że on nad głowami "tych panów" sięgnie do zakładów pracy. I on wiedział, o czym mówił. Radykalizm był własny jakoś dziwnie. Najniższy jego poziom, jak mi się wydaje, był w tzw. ogóle załogi. Najwyższy jego poziom był w delegatach zakładowych, a potem to "spadało" aż do Wałęsy. I stąd powstawał czasami dziwaczny obraz: szalenie napaśliwych zebranych regionalnych, radykalizujących, ostrych a jak przychodził potem do zakładu, z którego pochodziła taka piekielnie radykalna delegacja, to stwierdzałem, że w zakładzie jest sielanka.

B.B. Może ten "teatr radykalny", ta "ekstremalność" to była psychodrama społeczna na wielką skalę? Oczyszczanie się w debacie społecznej, żeby nie używać nagiej siły?

J.K. Zostałem kiedyś potężnie zaszezwony w zakładzie, którego delegacja była jedną z bardziej radykalnych. Poproszone mnie, żebym jakiś problem /już nie pamiętam jaki/ tam nasświetlił. Poszedłem. Stwierdziłem, że panuje tam duża sielankowość: wędlinie z załogą siedzą sobie sekretarz partyjny, z którym "jest wszystko cacy", siedzi dyrektor, z którym też "wszystko jest cacy", i cała komisja zakładowa. Było tam ciepło, swojsko i zupełnie nieradykalnie. I oni przede mną, który jestem o 5 stopni mniej radykalny, tłumaczyli się, dlaczego tutaj jest sekretarz przez nich zaproszony: no to on bywa na każdym ich zebraniu, no bo u nich są już takie stosunki... A to był zakład, który chciał wyeliminować Słowika z listy wyborczej tylko dlatego, że Słowik był jeszcze w partii.

A teraz sprawa marszu głodowego. Pamiętam czerwiec 1981 r.

B.B. Byłem poza krajem. Chętnie posłucham

J.K. Otóż sytuacja z grubasem biorąc jest taka: przełom wiosny i lata 1981 r., to drugi z kolei miesiąc, w którym są trudności z realizowaniem kartek na mięso. Już kartki majowe trzeba było przedłużyć na pierwsze dni czerwca, bo w maju nie zostały zrealizowane, a czerwcowych nie wiadomo było czy w ogóle zostaną zrealizowane. W każdym razie przedłużenia już chyba nie będzie. Zaczynają się kłopoty z papierosami. Pojawiają się inicjatywy, które nigdy mi się nie podobały, ale parcie ogółu znowu było tak intensywne, że działały interwencji NSZZ inicjowały w tej atmosferze nawet tego typu sprawy, że np. kontrolowali kicakarzy: i o to spod lady społeczni kontrolerzy wyciągali 10 kartonów papierosów. przy oklaskach kolejni, która słała 150 ludzi i rzeczywiście, doraźnie, każdy po paczce papierosów kupił...

Podejrzenia, że gdzieś jest sabotaż, zniszczenie, zaczynają zyskiwać nieprzekonywujące, a jednak nosne, argumentacje. Ktoś np. przynosi taką informację, że na wysypisku pod wodzią znajdują się sterty papierosów. Oczywiście, jedzie tam grupa interwencyjna z kimś z prezydium: jest hańda papierosów, tzw. braków produkcyjnych, tzn. papierosów długości 0,5 m z 10-ciomą filtrami w środku. Udaje się znaleźć trochę papierosów nieprawidłowo obciętych. Bóg wie, czy ta niedoklejona gdzieś indziej bibułka rozkleiła się tutaj, czy nie? Tyle braków w jednym miejscu, taka góra, to było coś bulwersującego - zamiast niezbitych dowodów na oczywisty sabotaż. A w wodzi pali się dużo... Zaczynają być problemy z dostarczaniem mleka, masła, sera. Odpowiedzi, jakie otrzymujemy na ten temat w Urzędzie miasta, są przedziwne: a to brakuje butelek, ale mleko jest i odwrotnie. Przedziwne rzeczy. No i wreszcie - to mięso! Kolejki przed sklepami wielkie. Już kierownictwa w zakładzie pracy nie panują nad załogą. Wyjście w czasie pracy do kolejki - jest regułą i nikt nie wyciąga z tego żadnych konsekwencji. Włóknianki wychodząc z pracy idą do kolejki, na chwilę wpadają do domu i znów wracają do kolejki. Rano włóknianka z kolejki idzie do pracy, po pracy znów wraca do tej samej kolejki.

Napięcie jest przeogromne. Dziennie przychodzi najpierw po 5, potem po 10, potem po 15, po 20 delegacji z zakładów pracy z informacją, że u nich sytuacja straszna, że ludzie chcą zatrzymać maszyny, że już odeszli od maszyn, ale zostali z powrotem namówieni do pracy, że to wszystko grozi strajkiem, że trzeba coś zrobić. A tu: lipiec. Nadzwyczajny Zjazd PZPR i kompleks czecnościowski; tam w 1968 r. też wszystko zaczęło się od nadzwyczajnego zjazdu, polityczna zawierucha w czasie nadzwyczajnego zjazdu, wkroczenie wojsk Układu W-skiego. Ta zbitka skojarzeń pęta się gdzieś wtedy pod czaszką... Pojawia się też inny kompleks jako skutek rządowej propagandy, skutek, który do nas trafia i przez prasę krajową, i przez zachodnią: "nic nie mają, bo strajkują, a strajkują, bo nic nie mają". Błędne koło... Przy tym ciągle się tli podejrzenie, że może są magazyny, w których coś jest. Może niedostatek jest tylko sterowany? To co wtedy? Grozi więc strajk. Próbuje się z tego "wymigać", najpierw przez próbę dozażnego załatwienia jednej, drugiej sprawy, bo może rzecz polega na jakichś niesprawnościach? Idziemy do prezydenta i referujemy sprawę jako groźną, dramatyczną, napiętą, że żądamy odpowiedzi, zapraszamy na zebranie zarządu w tym celu zwołane.

Odbywa się zebranie. Prezydent udziela odpowiedzi, ale z nich nie wynika zapowiedź, żeby sytuacja mogła ulec poprawie. Jednocześnie okazuje się, że jest i coś, co już się w głowie wprost nie mieści: kartek wydrukowano więcej niż uzyskano zaopatrzenia w mięso, albo wystąpiono o mniejsze zaopatrzenie w mięso niż rozdano kartek. Nie uwzględniono ilus tam tysięcy ludzi, którzy dojeżdżają do pracy w wodzi i tutaj dostają kartki, i tu realizują, a to jest całkiem poważna liczba ludzi, niż ta uwzględniona... sytuacja w wodzi jest tym gorsza, że na te braki zaopatrzenia w żywność /które były w całej Polsce/ poszczególne województwa zareagowały zamknięciem granic województw ustawiając tam policję, która na rogatkach kontrolowała wywożenie żywności. Województwo piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie wystawiło tego rodzaju rogatki. A przecież są to województwa, które sięgają do samych granic naszego miasta. Łódź to jest województwo bez zaplecza żywnościowego. Wojewoda sieradzki, który ma jakies zobowiązania wobec łodzi, wynikające z planów centralnych, ma u siebie w tym rolniczym województwie problemy z węglem. Więc handluje kartoflami ze węgla ze Śląskiem, a nie z wodzią. Ale nawet i to, co by-

to centralnie gwarantowane, nie trafia do Łodzi. Okazało się, że cała ta koncepcja regionów żywnościowych, samowystarczalnych, gdzie Łódź znajdowała się w układzie: Płockie, sieradzkie, skierniewickie, piotrkowskie - raptem pękła. Okazało się, że granica między Płockiem a Łodzią, Sieradzem a Łodzią jest nie do przejścia. Więc te wszystkie nadwyżki żywności nie trafiają i rynek zaczyna się dusić brakiem żywności. Zaczyna się już nawet przemysł żywności do Łodzi. I wiadomo, że nie będzie lepiej. Narada nie wiele dała. Za dwa dni przeczytaliśmy, że prezydent spotkał się również /bo to przecież cwaniak/ ze związkami branżowymi w tej samej sprawie. Podane zostały liczby. Stwierdziliśmy, że istnieje rozbieżność pomiędzy naszymi i ich liczbami. Wobec tego spytaliśmy prezydenta, które cyfry są prawdziwe? Usłyszeliśmy - trzecie liczby... A więc co zrobimy krok, to mamy więcej powodów do buntowania się. Prezydent zaczyna jeździć do Warszawy, interweniować. Nic nie wskazuje na to, że w lipcu będzie lepiej. Wymyśliamy więc, że podejmiemy akcję protestacyjną, nie określamy jednak jej z nazwy, ale wyznaczamy termin - po zjeździe partii. Ten termin dajemy prezydentowi jako ultimatum. Następnego dnia po tej uchwale zarządu jest już nie 20 zdesperowanych, zradykalizowanych zakładów, ale tylko 5 i to z tego względu, że nasza uchwała o proteście jeszcze do nich nie dotarła. Jak dotarła, to się wszystko uspokoiło. Telefony interwencyjne od załóg do zarządu liczy się na dziesiątki tylko. Wystarczy odpowiedzieć: jest uchwała, oędzie akcja w tym i tym dniu, jeśli do takiego i takiego czasu nic się nie zmieni. I oddech ulgi, po tamtej stronie telefonu. Sytuacja chwilowo została rozładowana, a my zaczynamy się zastanawiać, "co z tą zabłą zrobić"?

powstało pytanie, jak skonstruować w zarządzie równowagę psychologiczną w obie strony, dla załóg i na zewnątrz. No i pojawia się koncepcja, żeby zrobić manifestację uliczną, ale taką, która by nie zakłócała jednocześnie toku pracy. Stanęliśmy wobec poważnego tabu. Koz 1980 funkcjonował już w świadomości jako ta właściwa, bezpieczna droga rewindykacji, która umożliwiła uniknięcie rozlewu krwi z roku 1956 i roku 1970, która jest świeżo w pamięci jeszcze. "wszystko można, byle nie wychodzić na ulicę, bo wtedy krew się poleje".

roczątkowo był pomysł, aby nie był to przemarsz, tylko przejazd samochodów z zakładów pracy, zrobić to tak, żeby protest był widziany, żeby to było równie bolesne dla władzy jak strajk, a jednocześnie niemożliwe "do zaczepienia" ani na zasadzie konfrontacji ulicznej, ani na zasadzie owego sloganu: "nic nie mają, bo strajkują". Ale był nacisk komisji zakładowych, wywierany na zarząd, żeby ludzie też przeszli. Koniec kółców ustępujemy: w poniedziałek w proteście przejeździe ulicami tylko jedna firma /myśleliśmy o MPK/, ale okazało się, że PKS też ma swoje ambicje i też ma samochody. No dobrze, we wtorek ulicami przejeździe tabor PKS. Ale są jeszcze w Łodzi pracownicy transportowi, którzy też mają samochody i też mają ambicje. No, dobrze: w środę przejeździe transport... W czwartek zrobimy przerwę, a w piątek pojedzie marsz uliczny w liczbie 2 tys. osób, to mało, ale chodzi przecież tylko o symbol... Iuziemy do Urzędu Miasta i informujemy o takim programie. Żądamy ochrony policyjnej dla naszej manifestacji ulicznej. Krótka dyskusja: czy mamy prawo to organizować? konstytucyjnie - mamy. Panowie w Urzędzie Miasta, którzy odpowiadali za te sprawy bezpieczeństwa, pokazali już nie garstkę pigułek, już nie piłkę ping-pongową, ale piłkę nożną, którą utknęła im w gardle. Następne spotkanie z przedstawicielami komendy wojewódzkiej MO: wyglądu na to, że paru oficerów szlag na nie!

scu trafi. Autentycznie zacząłem się bać, że apopleksja u nich murowana.

Koniec końców, teza, że do manifestacji mamy prawo i mamy prawo do jej ochrony przez policję, okazuje się także psychologicznie niemożliwa do odrzucenia. Doszło do tego, że MO udostępniła naszym służbom radiostacje przenosne; ustalono wspólnie znaki identyfikacyjne. W omawianym dniu drogówka stanęła na skrzyżowaniach, żeby blokować ruch poprzeczny przez Piotrkowską - ochraniając w ten sposób przebieg marszu. Ustalono, że to, co jest nieprawidłowością w ramach pochodu, likwidują nasze służby, a co jest ekscysem poza pochodem - to oni. Na wypadek, gdyby ktoś się za bardzo awanturował, uzgodniono w jaki sposób byłoby przekazywani ci potencjalni prowokatorzy. Wyznaczono zakres pochodu. Stawiamy twardy zakaz, że nikt nie może wyjść z fabryki w dniu pracy, by dołączyć do tego pochodu. Ale ktoś pracuje w znacznym stopniu w systemie zmianowym. Liczyliśmy się więc z tym, że z tego symbolicznego tysiąca może się zrobić realnie 10 tysięcy. Na wszelki wypadek strażę porządkową sformowaliśmy w ten sposób, aby były elastyczne co do możliwości powiększenia składu pochodu. Wiedzieliśmy, że jeśli liczba z 1 tysiąca ludzi skończy do 10 tys. ludzi - jesteśmy w stanie nad tym przyrostem zapanować. Jak było w rzeczywistości? Pesymistyczne oceny ilości uczestników nie schodzą poniżej liczby 50 tys. Oczywiście, trzeba było zorganizować ograniczenie czoła i tyłu pochodu, żeby nie było wtargnięć, i trzeba było zadbać o to, żeby brzegi nurtu manifestacji były zrobione przez ludzi, którzy nie wpuszczają nikogo z boku... Apelowaliśmy także, żeby nie przynoszono z dziećmi, z wózkami itp. Nie udało się tego wyeliminować. Pierwsze cztery rzędy utworzyły matki z wózkami i z dziećmi na rękach lub z dziećmi prowadzonymi za rękę. Jedyne, co udało się konsekwentnie zrealizować to to, że miał to być pochód kobiet, i był to pochód kobiet.

B.B. Odkrycie przebiegu przyczyn tego marszu, który został odczytany jako złośliwy, warcholski ruch MKZ-tu, uświadamia mi, że myślniliście najbardziej spokojny środek zaradczy zamiast strajku.

J.K. Taka była wtedy nasza intencja.

B.B. Uspokoiliście więc radykalizm.

J.K. Dzisiaj to może byłoby modnie powiedzieć; ach jacy to byliśmy wtedy kozacy... Ale nie wolno mi zapomnieć, że było inaczej. Nawet gdybym o tym zapomniał i próbował dorabiać inną legendę, to istnieje przemówienie niejakiego Kropiwnickiego w KKP, której zebranie odbyło się po tym marszu, i tam w pewnym momencie pada zdanie: "zrobiliśmy ten marsz, traktując to jako wentyl bezpieczeństwa".

B.B. Dziękuję Panu za rozmowę. Myślę, że powinna ona mieć dalszy ciąg. Dziękuję.

Peter Bender

W UŚCISKU SUPERMOCARSTW

Od zakończenia II wojny światowej Europa stoi w obliczu dwóch większych problemów: radzieckiego i niemieckiego.¹ Oba sprowadzają się do możliwości zdominowania Europy przez jedno państwo i zagrożenia tym samym fundamentom całego kontynentu. W wypadku Rosji dominacja nad dużą jego częścią jest już faktem, a co do Niemiec - możliwość taka powstałaby, gdyby się RFN i NRD zjednoczyły.

Dla Europejczyków problem radziecki to istnienie na ich kontynencie supermocarstwa. Rozwiązanie tej kwestii Europa Zachodnia zostawia po prostu w rękach innego supermocarstwa Stanów Zjednoczonych. Ameryka zapewnia ochronę militarną. W okresach kryzysowych jej bronie jądrowe strzegą nawet wysuniętej wyspy, jaką jest Berlin. Zaś amerykańskie siły tworzą trzon konwencjonalnej obrony Europy Zachodniej.

Dzieje się tak od ponad 35 lat. Oczywiście jest, że od powstania sojuszu w 1949 roku między członkami NATO zdarzały się spory. Amerykanie uważają, że zachodnioeuropejski wkład we wspólne bezpieczeństwo jest zbyt mały i dążą do redukcji swego militarnego i finansowego obciążenia bez uszczerbku dla własnych wpływów politycznych. Zachodni Europejczycy uskarżając się na niezręczność Stanów Zjednoczonych w ich poczynaniach, pragną siatki ochronnej, a nie kaftana bezpieczeństwa. Jednak obie strony zdają sobie konsekwentnie sprawę ze swojej wzajemnej zależności. Dlaczego więc ów status quo nie może trwać nadal?

Ujmując rzecz krótko, można odpowiedzieć: dlatego, że w ciągu ostatnich 35 lat wiele się zmieniło i ten proces zmian będzie trwał w przyszłości. Europa wciąż jednak stoi przed próbą sił z taką odmianą w sposobie działania, która nie osłabi, lecz wzmocni jej bezpieczeństwo. Sukces zależy tu od wielu szeroko komentowanych czynników. Ale przeoczono jeden sposób do sprostania przez kontynent temu wyzwaniu: związek między problemami radzieckim i niemieckim. Zwłaszcza wymóg położenia kresu hegemonii żąda, aby

oba państwa niemieckie zgodziły się na rzecz nie do pozyczenia - formalne odstąpienie od dążenia do celu, jakim jest ponowne zjednoczenie.

Pakt NATO powstał w cieniu zimnej wojny. W latach pięćdziesiątych wydawało się, że te ideologiczne zapasy mogą się zakończyć tylko zwycięstwem lub klęską jednej ze stron - w świecie rządonym przez demokrację albo przez komunizm. Każdy obóz wierzył, że samo jego istnienie jest zagrożone przez drugą stronę. Ziti, dla odmiany, przyjmuje się za oczywiste, że te dwa systemy polityczne będą współistnieć w dającej się przewidzieć przyszłości. Obie strony, znając się wzajemnie aż za dobrze, w dużym stopniu odstąpiły od demonizowania przeciwnika. Odbiciem nowej sytuacji może być ostra reakcja na określenie przez prezydenta Reagana Świątku Nadzieckiego jako "imperium zła". I rzeczywiście - Reagan sam w końcu przrzekł nie używać w przyszłości tak opryskliwych słów. Najważniejsze jest to, że rzeczywiste demony - fanatycy owładnięci obsesją światowych krucjat w imię i pod sztandarami ich własnych prawd - bynajmniej nie znikną. Zarówno komuniści, jak i demokraci są pochłonięci, a w niektórych rejonach przygniecenii potrzebami własnych społeczeństw.

Jednakże z tej ewolucji konfliktu Wschód - Zachód więcej wynika dla Europejczyków, aniżeli dla obu supermocarstw. Wśród krajów Europy, od Polski po Portugalie, nie istnieje już taki polityczny czy ideologiczny konflikt, który by mógł stać się zarzewiem wojny. Nawet przy braku lokalnych sojuszy i mimo że jedne z nich są demokratyczne, a inne komunistyczne, państwa europejskie są w stanie współżyć z sobą pokojowo. Odnosi się to również do obu państw niemieckich - poróżnionych braci w europejskiej rodzinie.

Należy dodać, iż NATO powstało w atmosferze powszechnego lęku. że zimna wojna przekształci się w gorącą. Dziś nikt nie wierzy, że Moskwa zatakuje militarnie. Żaden poważny polityk nie przypuszcza, by Rosjanie chcieli zająć Europę Zachodnią. Mają już oni pełne ręce roboty w Europie Wschodniej. A z drugiej strony - niewielu już Rosjan sądzi, że "imperialiści" pragną wytępić "socjalizm". W takich okolicznościach przygotowania do wojny mogą mieć sens tylko na tyle, na ile wstrząsają one przeciwnika choćby tylko od rozważania możliwości ataku - a to dzięki zatarciu obrazu słabości.

Dziś, aczkolwiek strach przed wojną trechę się w ostatnich la-

tach odrodził, to jednak koncentruje się on głównie na ryzyku wojny nie zamierzonej, wszczętej przez spowodowane paniką posunięcie jednego z mocarstw nuklearnych. Jeśli nawet zarówno Moskwa, jak i Waszyngton podzielają ten strach przed wojną i są skłonne działać ostrożnie, to nadal pozostaje możliwość zaistnienia dyplomatycznych spięć. Supermocarstwa nie są na przykład w stanie kontrolować wyścigu zbrojeń, a w Trzecim Świecie skaczą sobie do oczu.

Tak więc Europa doczekała zmiany w sposobie myślenia o tym, gdzie tkwi niebezpieczeństwo wojny. Kraje europejskie potrzebują teraz zabezpieczenia nie tylko przed Moskwą i Waszyngtonem, ale również przed napięciem, które wzrasta między supermocarstwami. Jednakże to napięcie powoduje powstawanie zupełnie nowej odmiany strachu. Opór wobec supermocarstwa może być odparty militarnie, zaś współzawodnictwo z supermocarstwem może znaleźć swój wyraz tylko poprzez środki polityczne. Sytuacja zachodnich Europejczyków jest kłopotliwa. Stany Zjednoczone są z jednej strony obrońcą, a z drugiej - źródłem niebezpieczeństwa, gdy tylko narasta ich zmaganie ze Związkiem Radzieckim.

A zatem od Polski po Portugalię bezpieczna polityka stała się kwadraturą koła. Europejczycy muszą być wiarygodnymi sojusznikami, ponieważ ich bezpieczeństwo opiera się na partnerstwie. Muszą oni jednak także utrzymywać pewien dystans do swych poszczególnych opiekunów, by się nie dać wciągnąć do walki między supermocarstwami. Oni potrzebują siły "swojego" supermocarstwa jako przeciwwagi wobec drugiego, jednak niepokoi ich, gdy ta siła przeobraża się w dominację lub kiedy grozi to wzmożeniem wyścigu zbrojeń i doprowadzeniem stosunków Moskwa-Waszyngton do punktu wrzenia.

Innymi słowy, podstawa, na której spoczął sojusz atlantycki dramatycznie się przesunęła. Pierwotny konflikt Wschód - Zachód, przekształcił się w znacznym stopniu we współzawodnictwo supermocarstw, któremu asystują Europejczycy. W procesie tym filary NATO i Układu Warszawskiego stały się pośrednimi gwarantami ubezpieczenia dla swych własnych sojuszników. Nic dziwnego, że stosunki USA - Europa Zachodnia wyraźnie ochłodziły, tak jak i powiązania między rządzącymi elitami Wschodniej Europy ze Związkiem Radzieckim. Nie powinno też zaskakiwać, że w ostatnich latach wzrosła wśród Europejczyków pewność siebie wraz z przeświadczeniem że USA i Związek Radziecki to mocarstwa peryferyjne, narody "półeuropejskie", jak się wyraził George Kennan. Ci, którzy stanowi-

li kiedys wzór, zeszli teraz po prostu do roli strażników.

Proces ten nie będzie już odwracalny. Wszelkie wysiłki zmierzające do ponownego przetopienia stosunków Wschód-Zachód na ideologiczną modłę i co za tym idzie, zdyscyplinowania Europejczyków w ich sojuszach - skazane są na fiasko. Reaganowskie oświadczenia na temat imperium zła zwiększyło raczej dezintegrację w obrębie NATO. A próba znalezienia europejskiego kozła ofiarnego dla problemów obu systemów sojuszniczych jest po prostu daremna - problemem nie jest ruch pokojowy czy "siły antysocjalistyczne", lecz raczej rozbieżność między interesami Europy i supermocarstw. Rozbieżność ta rośnie, gdy Europejczycy coraz bardziej uświadamiają sobie absurdalność swojej sytuacji.

Czyż nie jest absurdem, że kontynent, niegdyś centrum świata, jest dziś podzielony na sfery wpływów supermocarstw, przekształcony w największy na świecie arsenał i uformowany w dwa wojskowe sojusze, z których każdy wskazuje na drugiego jako na największe źródło zagrożenia? Europeizacja Europy, która począwszy od lat sześćdziesiątych wzmacniała poczucie własnej godności tego kontynentu i stopniowo zmieniała jego polityczny sposób bycia, jest niczym innym jak tylko normalizacją, powrotem do samostanowienia.

Samostanowienia nie można jednak oddzielać od samoobrony. Całe to gładzenie zachodnich Europejczyków o zdominowaniu przez Waszyn gton pozostanie nieprzekonujące tak długo, jak długo pozostawią oni problem rosyjski w rękach Amerykanów. Pozostawianie innym własnych spraw do załatwienia jest gwarancją popadnięcia w uzależnienie. Jest to jednak tylko część problemu. Inny jego aspekt to ten że NATO nie jest w stanie zmienić geografii. Podczas gdy Amerykanie mieszkają za oceanem, Europejczycy będą zawsze sąsiadami Związku Radzieckiego zmuszonymi utrzymywać pewien modus vivendi z Moskwą. Nawet niezależnie od względów bezpieczeństwa polityczny zdrowy rozsądek podpowiada, aby Europejczycy dążyli do trwałych i jeśli to możliwe, korzystnych stosunków z ich potężnym sąsiadem.

ROZWIĄZANIE PROBLEMU RADZIECKIEGO.

Jak zachodni Europejczycy mają postąpić z radzieckim problemem? Przede wszystkim muszą oni jasno wiedzieć, czego uczynić nie są w stanie. Po pierwsze winni sobie uświadomić, że nie istnieje żadne szybkie rozwiązanie, żadne łatwe wyjście. Czterech dziesięcioleci historii nie można odwrócić w ciągu kilku lat czy też dzięki kil-

ku układom.

Po drugie - nie może być żadnego rozwiązania, które ignoruje Stany Zjednoczone lub działa przeciwko nim. I nie jest to niekorzystne dla Europejczyków. Przeciwnie - zmarły prezydent Francji Charles de Gaulle był uszczęśliwiony mając Stany Zjednoczone jak przeciwwagę wobec Związku Radzieckiego i odwrotnie. Cokolwiek Europejczycy uczynią, to w dającej się przewidzieć przyszłości na ich kontynent będzie zawsze padał cień supermocarstw. W istocie równowaga sił między Moskwą i Waszyngtonem jest podstawowym warunkiem pokojowego rozwoju Europy. Równowaga ta jednak powinna istnieć w skali globalnej. I nie ma potrzeby powtarzać tego na poziomie Europejskim.

Po trzecie - nie może być żadnego rozwiązania militarnego. Nic tak jak lęk przed samounicestwieniem nie zmusi politycznie i ekonomicznie samowystarczalnych gigantów do pokojowych dążeń. Jednakże stosunki Związku Radzieckiego z Europą Zachodnią są odmienne. Na obszarze między Atlantykiem i Uralem są możliwe i niezbędne pokojowe szlaki wiodące ku bezpieczeństwu. Jeśli absolutnie niezawodna obrona jest nie do pomyślenia, to jakieś państwo może dokonać ataku w sposób jeszcze bardziej bezsensowny niż dotychczas. Co więcej - może to dać pewność, że atakujący stanie się ofiarą własnej agresji, niszcząc i paraliżując to, czego tak rozpaczliwie pragnie. Związek Radziecki objawił już swoją wolę utrzymywania długotrwałych stosunków gospodarczych z Zachodem, uznając potrzebę takich stosunków dla innych krajów Europy Wschodniej.

Dla Europy Zachodniej nadeszła pora na rozważenie własnych sposobów modyfikowania i regulowania konfliktu Wschód-Zachód. Aczkolwiek Ameryka jest w stanie sama stworzyć wojskową przeciwwagę dla Związku Radzieckiego, to Wspólnota Europejska i Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej /RWPG/ równoważą się wzajemnie, tak gospodarczo jak i technologicznie. I rzeczywiście, jeśli stosunki między Brukselą i Moskwą mają się rozwijać - muszą się lokalizować w sferze ekonomii i technologii. Pragnienie, a nawet konieczność unowocześnienia rośnie na całym Wschodzie. Radziecki przywódca Michaił Gorbaczow uczynił z tego sprawą najwyższej wagi. Jako partner w długoterminowej współpracy Stany Zjednoczone są dla Sowieców poza tą kwestią: żaden kraj nie narzuca uzależniania się od swego głównego rywala. Moskwa potrzebuje wsparcia ze strony rozwiniętych przemysłowo krajów, co nie stwarza wielkiego zagrożenia politycz-

nego czy militarnego. Aby eksploatować Syberię, Kreml w ostatnim dziesięcioleciu zwrócił się ku Japonii, by zaś właściwie rozwijać Rosję - od stuleci spoziera na Europę Zachodnią.

Budowanie bezpieczeństwa poprzez współpracę, co zapoczątkowano w latach sześćdziesiątych, wymaga cierpliwego, stanowczego i pełnego koncentracji sposobu działania. Obie strony muszą utkać tak gęstą i bezpieczną sieć wzajemnych uzależnień i zobowiązań, aby żadna ze stron nie zaryzykowała jej zerwania. Mówiąc jasno, takie kontynentalne mocarstwo jak ZSRR nie może być zakute w ekonomiczne okowy. Niemniej jednak należy również stworzyć system zainteresowań, a nawet potrzeb, w którym i dla supermocarstwa korzystniejsze będzie kierowanie się rozsądkiem, zamiast uleganie pokusie siły. Oczywiście, na zawziętą irracjonalność nie ma żadnego lekarstwa, nie jest nim nawet groźba wojny nuklearnej.

Lecz jeśli zachodnioeuropejska gospodarka jest dla Moskwy tak ważna, to czy Rosjanie nie będą dążyć do jej zagarnięcia? Raczej nie. Przywódcy radzieccy wiedzą aż za dobrze, że przemysł europejski tak długo będzie miał bodźce do unowocześniania się, dopóki nie zostanie zsowietyzowany i jak długo pozostanie w integracji z innymi zachodnimi gospodarkami. Słychać również głosy wątpienia, czy handel Wschód - Zachód, nie rokujący gwałtownego skoku ze swe go obecnego skromnego poziomu, może przynieść większe korzyści, gdy w grę wchodzi problemy uzależnienia. Z punktu widzenia Wschodu, a od tego zależy cały schemat, takie korzyści można stworzyć. Handel Wschód - Zachód jest o wiele bardziej ważny dla Wschodu, niż dla Zachodu, mniej w kategoriach ilości niż jakości. Wschodowi potrzebna jest nie tylko masa, ale także technologie i organizacja. I kwestia zależności musi być rozpatrywana w tym świetle. Technologiczna i gospodarcza przewaga Zachodu jest tak rozległa i tak przez pewien jeszcze okres nie zagrożona, że Wschód bierze na siebie większe ryzyko ustanawiając ścisły, długoterminowy system współpracy.

Ci, którzy wskazują na rozczarowania i błędy z lat siedemdziesiątych, są całkowicie usprawiedliwieni. Niektóre kraje wschodnioeuropejskie, zwłaszcza Polska i Rumunia, sądziły więcej kredytów, niż ich scentralizowane systemy gospodarcze były zdolne wykorzystać w sposób właściwy. A zachodni bankierzy udzielili tych pożyczek. Wynikiem było przeogromne zadłużenie i zakażający się handel. Sceptycy, którzy występowali przeciwko subsydiowaniu wymiany handlowej ze Wschodem, mieli słuszość. Stosunki handlowe Wschód-

Zachód mogą się rozwijać na dłuższą metę tylko wtedy, jeżeli będą się opierać na prawach ekonomii. Doświadczenie jednak uczy, że polityka również odgrywa ważną rolę. W czasie napięć politycznych, handlowi partnerzy niezmiennie wycofują się lub odmawiają zatwierdzenia kredytów, zmniejszając tym samym przepływ towarów. Zdrowy stan wymiany handlowej uzależniony jest od woli politycznej i budowy wzajemnego zaufania.

Gdy w grę wchodzi handel Wschód - Zachód, to zarówno interesy, jak i filozofie Amerykanów i zachodnich Europejczyków stają się rozbieżne. Amerykanie uważają, że ich bezpieczeństwo wymaga od nich ścisłego kierowania, a nawet wręcz ujęcia w karby wymiany handlowej ze Wschodem. W ten sposób jedna strona używa handlu jako dźwigni, druga - jako plastra. Nawet wewnątrz Grupy Doradczej Komitetu Współpracy /COCOM/ - zachodniego forum negocjacji na temat kontroli eksportu - Amerykanie i zachodni Europejczycy zgadzają się zazwyczaj tylko co do zasad ogólnych, rzadko na gruncie praktyki. Ów transatlantycki konflikt, wynikły z tych poglądowych różnic, mógłby być bardziej godny i mniej gorzki, choć nie mniej intensywny, gdyby Europejczycy dla poparcia swej sprawy nie uciekali się do niewłaściwych argumentów. Zamiast przeproszać za to, że importują radziecki gaz ziemny i ustawicznie powtarzać, że jest to zbyt mała transakcja, aby stwarzała groźbę uzależnienia się od Moskwy, powinni oni wyjaśnić, że ta obopólna zależność jest ich celem oraz ważnym elementem europejskiej polityki bezpieczeństwa.

Jednakże ten cel może być tylko jednym z elementów. Dążenie do bezpieczeństwa poprzez współpracę nie oznacza poniesienia bezpieczeństwa przez odstraszenie. Radzieccy przywódcy nie powinni mieć świadomości, że zachodni szlak do Atlantyku stoi przed nimi otworem, w sąsiedztwie militarne olbrzymie nie powinno być militarnej próżni. Dla zachodnich Europejczyków zasadniczą sprawą pozostaje zdolność, a nawet determinacja do samoobrony: po pierwsze - w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, po drugie - tak dalece jak to jest możliwe, jako siła samodzielna. Nie powinno również bezpieczeństwo poprzez współpracę dzielić zadań sojuszu atlantyckiego na pracę i zabawę, czyli Amerykanów, którzy bułą rachunki za obronę i Europejczyków robiących czysty interes na rozwoju handlu. Jeżeli współpraca gospodarcza Wschód - Zachód okaże się sukcesem, zyska na tym całe NATO. Im większe bezpieczeństwo stwarzają niemilitarne fortele zachodnich Europejczyków, w tym większym stop-

niu Amerykanie mogą obniżyć swoje wojskowe wydatki oraz obowiązki w Europie.

O co się dotyczy wschodnich Europejczyków, to oni już padli ofiarą tego, czego ich zachodni sąsiedzi tylko się obawiają. Ich problem radziecki polega na próbach wydostania się z kręgu moskiewskiej, pośredniej i bezpośredniej, hegemonii. Wszelkie wysiłki osiągnięcia tego w drodze rewolucji spełżyły na niczym, jednak począwszy od późnych lat pięćdziesiątych trwa proces, który prowadzi sześć krajów, od NRD po Bułgarię, do coraz większej autonomii. Proces ten rozwija się różnie, w zależności od kraju. Było wiele niepowodzeń, a rezultaty wahają się od wstrzasających, jak na Węgrzech, do przysiębiających, jak w Czechosłowacji. Tendencja ta jest jednak niewątpliwa: trzydzieści do czterdziestu lat temu wojeństwo tzw. państw satelickich do Związku Radzieckiego wydawało się możliwe, dziś jest nieprawdopodobne. Problem polega na tym, do jakiego stopnia Związek Radziecki utrzyma lub rozluźni, albo nawet pewnego dnia - otworzy kleszcze, w których trzyma swych europejskich sąsiadów.

MOSTY NA ZACHÓD

Jeszcze w 1957 roku Polska próbowała zbudować most łączący ją z Zachodem za pomocą planu Rapackiego, dotyczącego strefy bezatomowej w Europie. Początkowo Rumuni i Węgrzy, a następnie w 1968 r. Czechosłowacy oraz /w sposób umiarkowany/ Bułgarzy prowadzili swą własną dyplomację wobec Europy Zachodniej. W roku 1980 Niemcy Wschodnie przyłączyły się do tego klubu na swej własnej, nawet śmiałojszej płaszczyźnie. Pragnienie rozbudowania kontaktów z Zachodem jest podzielane nie tylko przez narody wschodnioeuropejskie, lecz również przez ich rządy. Nowoczesność z jej wszystkimi technologicznymi i kulturalnymi implikacjami stała się ważniejsza niż socjalizm. Jeśli sprzymierzeńcy Moskwy odgrywają czynną rolę w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, robią to nie dlatego, że są zainteresowani jakimś poszczególnym "koszykiem" porozumienia z 1975 roku w Helsinkach, lecz sposobem, który by położył kres podziałowi tego kontynentu. Dla wschodnich Europejczyków wizja Europy oznacza zblizenie ich do zachodnich sąsiadów i daje nadzieję na zmniejszenie ich kłopotów.

Wszystkie kraje wschodnio-europejskie muszą egzystować w takim systemie politycznym i gospodarczym, który pozostaje w sprzeczności z ich narodowymi tradycjami i ich poziomem rozwoju społeczno-ekonomicznego. Wynikiem jest 40 lat braku stabilizacji. Nie było dziesięciolecia, aby gdzieś porządek radziecki nie musiał być przywracany siłą. Prognozy dla poszczególnych krajów zmieniają się jednak bez podstawowych reform osiągnięcie w Europie wschodniej wewnętrznej równowagi przed końcem stulecia będzie niemożliwe.

Czy taka sytuacja przedstawia dla bezpieczeństwa Europy jakies zagrożenie, jest sprawą wielce dyskusyjną. Nikt nie może zagwarantować, że większa rewolta we Wschodniej Europie nie wciągnie Zachodu. Kiedy jednak Sowieci stosują środki militarne dla zachowania swojej władzy na wschodzie Europy, dają wyraźnie do zrozumienia, że nie leży w ich zamiarach ruszanie Zachodu. A więc logiczne, że im większa rewolta, tym większe będzie zainteresowanie Moskwy w utrzymaniu z Zachodem stosunków pokojowych. Niemniej jednak niestabilizowanie Europy Wschodniej ma wpływ na część zachodnią tego kontynentu oraz zakwasza stosunki między supermocarstwami. Tak długo jak ZSRR nie zdoła ustanowić ze swymi sojusznikami z Układu Warszawskiego "organicznymi powiązania", które w sposób dobrej woli zaakceptują wschodnioeuropejskie społeczeństwa, tak długo Europa będzie żyć w wielkiej politycznej niewiadomej.

Europa Wschodnia ma jeszcze mniejsze możliwości szybkiego rozwiązania swego problemu radzieckiego niż Europa Zachodnia. Można jedynie oczekiwać stopniowej poprawy dzięki procesowi, który się zgodzi, a następnie usunięciu sprzeczności między narodowymi interesami wschodnich Europejczyków a systemem radzieckim. Aby szczęśliwi sojuszników Moskwy pozostało nadal jej sojusznikami, niezbędna jest ich wewnętrzna autonomia. Jeśli wolno im będzie kształtować swoją państwowość i gospodarkę zgodnie z własnymi interesami, to konieczność lojalności wobec Moskwy pod względem polityki zagranicznej i bezpieczeństwa będzie dla nich do przyjęcia. Finlandia na przykład, jest demokracją w stylu zachodnim, ale prowadzi ze swym gigantycznym sąsiadem ostrożną dyplomację, a w razie kryzysu musi otworzyć swoje terytorium dla radzieckich wojsk.

Tak więc celem Zachodu powinno być stopniowe zmniejszanie zaangażowania Rosji w Europie Wschodniej - najpierw politycznego, a później wojskowego. Jest to absolutnie nowy cel. Na początku lat pięćdziesiątych ówczesny sekretarz stanu, John Foster Dulles chciał cofnąć Świątek Radziecki z powrotem w jego granice. Był doradca

do spraw bezpieczeństwa, Zbigniew Brzezinski, zalecał taktykę przeciwną i dokładał starań, aby kusić poszczególne kraje wschodnioeuropejskie do opuszczenia Układu Warszawskiego dzięki przyjaznym gestom amerykańskim. Także administracja Reagana oskarża Moskwę o złamanie porozumienia jałtańskiego i tym samym kwestionuje legalność radzieckiej władzy nad Europą Wschodnią. Dziś jednak Waszyngton nie ma przemyślanego schematu działania, wahając się między koncepcjami Dullesa i Brzezinskiego. Wszystkie te odmienne plany mają wspólną cechę - są mianowicie bezproduktywne.

Jeżeli Zachód ma pomóc Wschodniej Europie, musi uznać dwie podstawowe prawdy: okresy napięcia sprzyjają wzmocnieniu dyscypliny, zarówno w RWPG, jak i wewnątrz każdego państwa członkowskiego, zaś czasy odprężenia /détente/ rozluźniają więzy po obu stronach. Doświadczenie uczy także, że powiązania Wschodniej Europy z Moskwą, jak również w radzieckim bloku RWPG, mogą być rozluźnione i zredukowane dzięki związkom z Zachodem. Im bardziej ekonomiczny charakter mają te związki, tym łatwiej je usprawiedliwić przed Kremlem. Innymi słowy - ci, co podejmują na Zachodzie decyzje, muszą mieć świadomość, że sieć wzajemnych zależności oraz zobowiązań, rozciągnięta ponad podziaki Wschód - Zachód, również znakomicie pomaga Wschodowi. Polityka zapewniająca większe bezpieczeństwo Europie Zachodniej obiecuje także większe swobody dla Europy Wsch.

Rzecz tu nie w tym, aby rozwiązać oba te paktów wojskowe - to pozostaje celem na odległą przyszłość. Sojusze muszą istnieć nadal ponieważ strach Europejczyków oraz wzajemna nieufność supermocarstw są zbyt wielkie. Europeizacja Europy może się dokonać jedynie za ochronną tarczą sojuszy. Bezpieczeństwo europejskie, temat debat od ponad trzech już dziesięcioleci, musi stać się oczywistością polityczną oraz psychologiczną, zanim przybierze formę traktatu. Podpisanie ograniczenia zbrojeń może nastąpić tylko wówczas, kiedy te zbrojenia staną się w oczywisty sposób zbędne. Nie można mówić o stopniowym wycofywaniu się wojsk amerykańskich i radzieckich, zanim nie staną się one niepotrzebne. W każdym razie Amerykanom trzeba by przeświadczenia, że Zachodnia Europa oraz RFN nie znajdują się w strefie wpływów radzieckich, a Rosjanom - pewności, że graniczące z nią państwa pozostaną lojalnymi partnerami. Należy dodać, że osiągnięcie tego odległego celu należy od zachowania w Europie równowagi sił między Waszyngtonem i Moskwą. Gdyby oddziały amerykańskie wycofały się z Europy jednostronnie, wojska radzieckie nie opuściłyby jej nigdy. Jednakże Amerykanie

powinni zechcieć się wycofać, aby sprowokować do tego samego Rosjan. Był to błąd popełniany przez wszystkie koncepcje, od Dulles po Brzezińskiego: próbowano zachować siłę Ameryki w Europie z jednoczesnym osłabieniem ZSRR. Moskwa jest jednak zbyt mocna i ma w Europie zbyt wiele interesów, aby to mogło nastąpić. Każdy, kto dąży do równowagi sił, musi się także godzić na równowagę strat.

Problemu radzieckiego nie da się rozwiązać w oderwaniu od problemu niemieckiego. Dla wszystkich, z wyjątkiem samych Niemców, rozwiązanie tego problemu leży w trwałej gwarancji obecnego dwupaństwowego układu. Po doświadczeniach obecnego stulecia dla reszty świata byłoby to za wiele: 80 mln. zbyt silnych i zbyt nieobliczalnych Niemców, Stąd też NATO, wzięwszy Republikę Federalną pod swe skrzydła, ma podwójne zadanie strzeżenia jej tak przed Rosjanami, jak i przed Niemcami. Przed podobnym podwójnym zadaniem stoi blok wschodni. Berlin, miasto czterech mocarstw, jest wieżą strażniczą, z której ta czwórka obserwuje całe Niemcy.

Najgłębiej problem ten objawia się w Paryżu i Warszawie. Rząd francuski chętnie powitał amerykańskie Pershingi II w Republice Federalnej nie jedynie dlatego, że uwolnią one Francuzów od kwestii niemieckiej na następne 10 - 20 lat. Przed rokiem pewien polski polityk publicznie zauważył, że gdyby Amerykanie wrócili do domu, problem niemiecki znów by został "spuszczony ze smyczy".

Nawet Francja i Polska /bardziej niż inne kraje skłonne do nie zależności/ przekładałyby Europę zdominowaną przez supermocarstwa nad odrodzenie się siły niemieckiej. Z każdej rozmowy na temat wycofania wojsk wielkich mocarstw wyłania się kolosalna kwestia, i to od Waszyngtonu, poprzez Europę, aż po Moskwę: Kto po odejściu Amerykanów i Rosjan zdobędzie przewagę w Europie? Niemal wszyscy zgadzają się, że to mogą być tylko Niemcy, które nawet teraz są najsilniejszym państwem obu części Europy.

Wniosek jest niewątpliwy: tak długo jak Republika Federalna będzie dążyć do zjednoczenia Niemiec, Moskwa i Waszyngton będą miały powód albo pretekst do sprawowania wojskowej kontroli nad Europą. Większość Europejczyków będzie nadal uważało wojska amerykańskie i radzieckie za niezbędne. A otwarte dla Europy możliwość niezależnego traktowania problemu radzieckiego zostaną ograniczone. Republika Federalna i NRD ponoszą wspólnie szczególną odpowiedzialność nie tylko za pokój, lecz także za przyszłość kontynentu. Jeżeli one nie wyrzekną się dążenia do narodowej jedności, Stary Świat pozostanie podzielony na strefy wpływów supermocarstw.

WYRZECZENIE SIĘ JEDNOŚCI

Czy jest mimo wszystko możliwe wyrzeczenie się jedności? Niemcy Wschodnie już to robią. Wschodnioniemiecki prezydent Erich Honecker odmalowuje zachodnim obserwatorom swój kraj jako gwarantującą dla podziału Niemiec i jako pierwszy warunek złagodzenia napięć w Europie. Po raz pierwszy Berlin Wschodni przedstawił lepsze argumenty niż Berlin Zachodni czy Bonn.

A co może uczynić Republika Federalna? Nawet na scenie polityki zagranicznej może się dla Bonn okazać niemożliwe wyrzeczenie jedności w sposób przekonujący. Na Wschodzie i Zachodzie wielu starszych ludzi, którzy zaznali wojny i okupacji - z pewnością w to nie uwierzy. Jednakże wśród młodszego pokolenia Europejczyków powstał nowy i realistyczny obraz Niemiec. Młodzi Europejczycy uznają swych rówieśników za "normalnych" Europejczyków. Znają oni tylko dwa państwa niemieckie, tak jak i młodzi Niemcy, oraz, co najważniejsze, Hitler to już dla nich historia. Wzmocnienie wiary godności niemieckiego wyrzeczenia się jest więc w dużym stopniu kwestią czasu.

Sytuacja ta dotyczy również samych Niemiec. W obecnych warunkach nie znalazł się w Bundestagu większość dwóch trzecich, która poprze formalne wyrzeczenie się zjednoczonego państwa niemieckiego. I rzeczywiście, rozmaite propozycje rewizji Prawa Podstawowego, czyli zachodnioniemieckiej konstytucji, okazywały się nieskuteczne. Od czasu, kiedy kanclerz Helmuth Kohl objął w 1983 roku urząd, nasiliła się nacjonalistyczna frazeologia i nawet członkowie rządu bonńskiego mieli w tym swój udział. Co więcej, zachodnioniemieccy konserwatyści nie zaprzestają podsyłania nadziei na zmianę polskiej granicy.

Oświadczenia te szkodzą Kohlowskiej "Ostpolitik", polityce poprawy stosunków z Europą Wschodnią, składane są one jednak wyłącznie na użytek wewnętrzny. Dawni i nowi konserwatyści, jak i nie-które młodsze głosy z lewicy, produkują jedynie słowa, nie tworząc polityki. To, co czasem wygląda na nowy nacjonalizm niemiecki, jest wynikiem poszukiwania tożsamości po dziesięcioleciach zamieszkania i niepewności. Wspólnym mianownikiem wielu irytujących nierzadko zjawisk wydaje się być ukryte pragnienie Niemiec Zachodnich, aby osiągnąć doświadczenie bezpieczeństwa ze swymi sąsiadami.

Podobne zjawiska - w innej postaci - pojawiają się także w NRD. Niemcy po obu stronach granicy okazują rosnącą pewność siebie oraz historyczną świadomość. Są oni równi w kategoriach prawa - teraz pragną stać się równymi na płaszczyźnie moralnej. Niektórzy, jak na przykład Kohl w Bitburgu, próbują to robić zapominając o Hitlerze. Inni zaś - pamiętając o nazistowskiej przeszłości - tak jak uczynił to zachodnioniemiecki prezydent Richard von Weizsäcker w szeroko chwalonym przemówieniu w Bundestagu w maju 1997 roku. Niemcy po roku 1945 przypominają Francję z epoki po roku 1815: raz na zawsze rozwiały się sny o światowej mocarstwowości i hegemonii w Europie.

Katastrofa po roku 1945 była jednak czymś o wiele gorszym niż klęska Napoleona, i Niemcy mają tego silną świadomość. W pierwszych latach po wojnie zachodnioniemieccy politycy wciąż używali określenia "Rzesza". Później każde z państw niemieckich mówiło o ponownym zjednoczeniu. Po uznaniu NRD przez Republikę Federalną ta pierwsza ograniczyła swój cel narodowościowy do podtrzymywania jedności narodowej, a teraz posunęła się jeszcze bardziej i żąda je dzisiaj, by kwestia niemiecka pozostała otwarta. Bonn nie ustaje w naciskach na prawa Niemców do samostanowienia. Jest to jednak formuła tak samo niewyraźna jak "otwarta kwestia". Może ona oznaczać ponowne zjednoczenie, lecz także więcej praw i swobód dla Niemców wschodnich. Każdy z niemieckich kanclerzy - od lat siedemdziesiątych do dnia dzisiejszego, Willy Brandt, Helmut Schmidt i Kohl - wyrażał publicznie wątpliwość, czy zjednoczenie byłoby możliwe nawet w odległej przyszłości. A większość zarówno wschodnich, jak i zachodnich Niemców poddaje się tej rzeczywistości.

Jednakże stanąć wobec faktu, a uznać go - to dwie różne rzeczy. Formalne zjednoczenie Niemiec będzie po pierwsze wymagało upływu czasu, po drugie - długiej i twardej debaty, a po trzecie - odpowiedniej sytuacji politycznej. Dwadzieścia pięć lat temu Republika Federalna stanęła przed podobnym problemem. Uznanie NRD jako państwa oraz linii Odra-Nysa jako polskiej granicy było nieuniknione. Kanclerz Konrad Adenauer wiedział o tym doskonale, ale dopiero po dziesięciu latach Brandt mógł uczynić ten krok. Dziesięciolecie 1960-70 było jedną gorączkową debatą. Poprzednik Brandta Kurt Georg Kiesinger, nazwał uznanie NRD narodową wyprzedzą. Sytuacja jednak gwałtownie się zmieniła. Zachodnioniemiecka opinia publiczna wyprzedziła swych polityków i sytuacja zaczęła sprzyjać

nowemu pojmowaniu Óstpolitik; takiemu jakiego zamysłał Brandt. Co więcej, były prezydent Richard Nixon i zmarły przywódca radziecki Leonid Breżniew uparcie dążyli do odprężenia /détente/. Brandt mógł wreszcie zrównoważyć ryzyko uznania status quo z próbą złagodzenia jego konsekwencji.

Niemcom Zachodnim trzeba dziś dyskusji podobnej do tej z lat sześćdziesiątych. Część argumentów można by zaczerpnąć z Brandtowskiej Óstpolitik. Podział Niemiec został potwierdzony, choć jego skutki - złagodzone. Niemcy Wschodnie przekształciły się z frontowego państwa bloku wschodniego w centralne państwo europejskie, zaś stosunki między Bonn i Berlinem Wschodnim zostały w szerokim wymiarze znormalizowane. Dwa państwa niemieckie przestały być wrogami, a stały się w istocie partnerami, którzy wypatrują wspólnych interesów oraz zalet wspólnych przedsięwzięć.

Najbardziej skuteczny środek na poprawienie sytuacji NRD, jaki jest w dyspozycji Bonn, to pomoc w europeizacji problemu radzieckiego. Im bardziej złożone są powiązania Republiki Federalnej z Związkiem Radzieckim i Europą Wschodnią, tym większe powstają dla NRD szanse ustanowienia związków z Zachodem. Jeśli już współrodacy na Wschodzie muszą żyć w odrębnym państwie, to polityka zachodnioniemiecka nawołuje, by wspomagać dobrobyt tego państwa. Czegoż więcej mogą pragnąć wszyscy Niemcy niż ograniczenia, a w końcu likwidacji bezpośredniej kontroli radzieckiej nad Niemcami Wschodnimi?

Ogromna większość zachodnich Niemców ze wszystkich partii dawno się zgodziła, że swobody demokratyczne muszą mieć pierwszeństwo przed zjednoczeniem. Jedynie wobec widocznego braku możliwości do przyjęcia alternatyw mówi się o narodowej jedności. Już w 1958 roku Adenauer potajemnie ponaglał Związek Radziecki, by przyznał Niemcom Wschodnim taki status jak Austrii - z możliwością zbudowania demokratycznego porządku, jednak z zakazem połączenia się z Republiką Federalną. Jedyna realistyczna droga jest druga i wiedzie do stopniowej emancypacji. Prędzej czy później, będzie to wymagało od Niemców wyrzeczenia się jedności narodowej.

Niemcy jednak nie uczynią tego prawdopodobnie dopóty, dopóki nie dostrzegą poprawy stosunków Wschód - Zachód, przynajmniej w Europie. Jeśliby détente miała zdrowe podstawy, jakiś nowy Brandt mógłby podjąć ryzyko uwolnienia Europy od problemu niemieckiego. Będzie on rozwiązany wówczas, gdy rozwiązany zostanie problem ra dziecki - to znaczy wtedy, gdy bezpieczeństwo Europy nie będzie

wymagało gwarancji poprzez wojskową obecność Amerykanów oraz kiedy wschodni Niemcy i wschodni Europejczycy będą mogli żyć mniej więcej tak, jak sobie tego życzą. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy i w jakim stopniu te cele zostaną osiągnięte, każdy jednak krok w tym kierunku świadczy o postępie.

Peter Bender

/tłum. dla "Przeświitu"
Seweryn Jieniewicz/

1/ Foreign Policy: Peter Bender "The super-power squeeze"
Autor jest zachodnioniemieckim publicystą i politologiem

Gabriella Turnaturi

NIE TYLKO DLA SIEBIE

DZIAŁAĆ, interweniować konkretnie i natychmiast, nie jako poszczególne jednostki, czy masa manipulowana przez tę czy inną partię, ale jako zorganizowani i zjednoczeni obywatele. Właśnie takie zespołowe zachowanie staje się ostatnimi laty najbardziej nowatorskie we Włoszech. Eksplozja tego stowarzyszenia się, pragmatycznego, apartyjnego, nie przesyconego żadną ideologią jest tak znaczna, że raport instytutu GENESIS za 1986 r. zalicza ją do nowych zjawisk w społeczeństwie włoskim.

Po roku 1968 i tak zwanym odpływie potwierdza się nadejście nowej fazy: samodzielnego radzenia sobie wspólnie z innymi mającymi wspólne cele i interesy, odrzucenia pośrednictwa partii. Stowarzyszenia zakładają dziś prawie wszyscy, od obywateli zbuntowanych - przeciwko fiskusowi i zjednoczonych w Komitecie Obrony Podatników po rodziców narkomanów, od wdów mafii po piesznych przeciwko ruchowi. W tyglu międzypokoleniowym i międzyklasowym, któremu bardzo trudno byłoby przypisać polityczną etykietkę, rodzi się prawdziwy pęd do działalności zespołowej, ruch, który chce uzyskiwać natychmiastowe wyniki. Z dala od abstrakcji ideologicznych i biurokratycznych zawiłości Włosi eksperymentują nowy sposób uczestnictwa w życiu społecznym, nowe formy udzielania głosu obywatelom, nowe drogi, by zwrócić uwagę na fakty i problemy, które dotyczą ich bezpośrednio. Według sondażu instytutu Eurisko, polityczne za

angażowanie partyjne Włochów jest dziś trzy razy mniejsze od społecznego i mniej więcej jeden Włoch na dziesięciu poświęca część swego czasu na działalność nieodpłatną, ale użyteczną dla wspólnoty. "Ludzie są dziś poza wielkimi związkami i poszukują własnej tożsamości jednostkowej i zbiorowej w obronie konkretnych interesów" - komentuje filozof z Mediolanu, Salvatore Veca.

Trudno jest ocenić dokładnie, ile jest dziś we Włoszech aktywnych stowarzyszeń, ale spróbujmy przyjrzeć się z bliska tym najnowszym i najbardziej znaczącym.

Wciąż panuje przemoc w stosunku do dzieci w murach i poza murami rodzinnych domów? Powstaje AI-PAI /Stowarzyszenie na rzecz Zapobiegania Nadużyciom w stosunku do Dzieci/. Podczas gdy na temat godziny religii w szkołach ścierają się rozmaite partie, powstają spontaniczne stowarzyszenia rodziców, aby szukać rozwiązań natychmiastowych, nie będących dla dzieci niezasięganą karą. Nie po to, by rozstrzygać abstrakcyjne "tak" lub "nie", ale aby rozwiązać problem, który wywołuje kryzys w szkolnictwie. Podobnie, nie zatrzymując się nad pozycjami partyjnymi i ideologicznymi w sprawie ustawy 180 /przewidywała zamknięcie szpitali psychiatrycznych i utworzenie terytorialnych ośrodków opieki/, rozmaite stowarzyszenia rodzin chorych umysłowo przeszły bezpośrednio do organizowania służb alternatywnych, depcząc po piętach ośrodkom higieny umysłowej, zajmując stanowisko pośrednika między instytucjami a użytkownikami. A dziś udało się utworzyć Krajowe Zrzeszenie Rodzin na rzecz Reformy Psychiatrycznej. A więc od spraw prywatnych, od własnego interesu do interesów zbiorowości, zjednoczeni w szeroko zakrojonym, choć obywatelskim buncie, uświadamiający sobie własne prawa, co prowadzi bezpośrednio do działania.

Niezliczone są również inicjatywy na rzecz obrony konsumentów. Ruch konsumentów Gustavo Ghidinięgo, Krajowe Zrzeszenie Konsumentów, Codacons /który jest związkiem rozmaitych stowarzyszeń użytkowników, od użytkowników telefonów do użytkowników autostrad /, Krajowa Federacja Konsumentów utworzona w 1981 r. przez centrale związkowe, Assutenti - to tylko niektóre, najbardziej aktywne spośród tysięcy niezwykle aktywnych dziś we Włoszech stowarzyszeń konsumentów. "Potencją tych stowarzyszeń jest ogromny, gdyż problem konsumpcji ogarnia wszystkie dziedziny życia obywateli, którzy domagają się ochrony swych interesów osobistych, a nie tylko interesów pracowniczych" twierdzi Anna Ciaperoni z sekretariatu Krajowej Federacji Konsumentów.

"Pragniemy wypracować coś w rodzaju zbioru praw konsumentów - mówi adwokat Carlo Rienzi z Codacons - lecz nie chcemy stać się organizacją masową. Nasza siła polega na interwencjach ściśle określonych, dokładnie przygotowanych, jesteśmy i powinniśmy pozostać stowarzyszeniami pirackimi".

Stowarzyszenia te, zmieniające się i działające w sposób trudny do przewidzenia, nie wydające legitymacji, zagarniają coraz większą przestrzeń zajmowaną tradycyjnie przez partie lub pokrewne im organizacje. Rodzą się autentyczne grupy nacisku z własnymi ekspertami i prawnikami, które są na dobrej drodze do tego, by odgrywać tę samą rolę i mieć te same wpływy, jakie mają od wielu lat podobne grupy w krajach anglosaskich, a zwłaszcza w USA.

Czy, rozwijając się w ten sposób zjawisko stowarzyszania się pogłębia i tak już głęboki kryzys reprezentacji, który dotyka partii politycznych? "Możliwe, że pewne partie będą próbowały prześladować albo, co gorsza, wchłonąć niektóre z tych stowarzyszeń - komentuje Salvatore Beca - ale należy sobie życzyć, aby to nie nastąpiło. Nikomu nie opłaca się blokować czegoś, co jest bez wątpienia znamieniem rozwoju naszego społeczeństwa obywatelskiego. A Carlo Donola, profesor socjologii politycznej na Uniwersytecie w Salerno, dodaje: "Nowe zjawisko powstawania stowarzyszeń stawia oczywiście w kłopotliwej sytuacji partie polityczne, które jeszcze niedawno odgrywały rolę instytucji patronujących wszelkim istniejącym stowarzyszeniom. Dziś natomiast nie udaje im się nawet ich kontrolować".

W rozmaitych stowarzyszeniach, od zawodowych do kulturalnych, od stowarzyszeń konsumentów do stowarzyszeń na rzecz ochrony dzieci, panuje obawa przed wszędobylskimi i wszechobecnymi partiami. I nawet o związkach zawodowych nie chcą słyszeć ci obrońcy wolnych i wyspecjalizowanych stowarzyszeń. Co więcej, związkom zawodowym rzucają piękne wyzwania. Nie jest już możliwe, by związek zawodowy reprezentował wszystkich i wszystko, przyznaje Ecardo Guarino sekretarz krajowy CGIL. Powstawanie tych wszystkich stowarzyszeń zmusza nas do brania pod uwagę praw użytkowników oraz koncepcji pracy i życia, obcych naszym zwyczajowym schematom. Na przykład w sporach, które wiedli pracownicy szpitali, dzięki zabiegom trybunału na rzecz praw chorych, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę także i ze szkód, jakie nasze działania strajkowe mogą przynieść osobom hospitalizowanym. Czy dzięki stowarzyszeniom również partie zmieniają swój punkt widzenia?

Bohdan Urbankowski

CZŁOWIEK POŚRÓD

(XIII) LEGEND

Druga próba kontrakcji następuje już po miesiącu. W nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. Januszajtis, Dymowski i paru innych działaczy przeprowadza kolejny zamach. Grupie dowodzonych przez nich wojskowych udaje się opanować Komendę Miasta na pl. Saskim, z kolei podległe im bojówki "Straży Narodowej" aresztują członków rządu Moraczewskiego. Od tej chwili w mechanizmie spisku zaczyna się coś psuć; zamachowcy przetrzymują ministrów w biurze jakichś garaży, następnie wsadzają wszystkich do samochodów i... wożą dookoła Warszawy. Jak okazało się później, chciano ich wywieźć do endecckiego Poznania, ale wszystkie drogi wylotowe były obsadzone już wojskiem. Premiera i ministrów zamknięto więc w lokalu endecckiego stowarzyszenia "Rozwój" /przy ul. Żurawiej/ i kazano pilnować paru żołnierzom. Spowoduje to później operetkowe trudności: po likwidacji spisku nie będzie można znaleźć rządu. Nie był jednak operetkowym fakt, że w trakcie aresztowań zamachowcy strzelali do ministra Thugutta i byliby zabili komendanta Milicji Miejskiej, pułkownika "Jur" - Gorzechowskiego.

Po zamknięciu Moraczewskiego zamachowcy ogłaszają powstanie Rządu Narodowego. Władzę cywilną ma przejąć Roman Dmowski, wojskową - gen. Józef Haller; na czas nieobecności zastępuje ich płk. Marian Januszajtis i książe Eustachy Sapieha. "Rząd" ten wzywa pod swe rozkazy wojsko, głównie te zresztą oddziały, których dowódcy byli wtajemniczeni w spisek. M.in. postano po kompanie piechoty z 21 pułku, którymi - w zastępstwie wtajemniczonego płk. Jaźwińskiego dowodził, też zresztą wtajemniczony major Józef Hellman. Kompanie przybywają i... na rozkaz gen. Szeptyckiego, który akurat znalazł się na placu Saskim, aresztują samych zamachowców.

Nieoczekiwanie również zakończyła się akcja zamachowców wysłanych na Belweder. Przebieg jej do dzisiaj jest niejasny - w pisanych po latach wspomnieniach Januszajtis mówi np. o stojącej na Bagateli baterii 6 dział wymierzonych w Belweder, Arski natomiast twierdzi, że zamachowców było dwóch, podoficer bez przydziału, dowborczyk Pawluś-Piechurski i jakiś kapral Kozłowski z 2 pułku ułanów. Mieli oni przyjechać pod Belweder samochodem i zażądać, by Piłsudski udał się z nimi do Komendy Miasta. Uzbrojenie ich stanowiły granaty i pistolety. Szczegóły dotyczące uzbrojenia potwierdza również "Księga dziejów 7 pułku ułanów" autorstwa Smoleńskiego i Żebrowskiego. Czytamy w niej m. in.: "oficerowie zamachowcy uzbrojeni w rewolwery i granaty ręczne wtargnęli do Belwederu. Zostali natychmiast rozbrogieni przez pluton wartowniczy 7 p. ułanów /znanego nam już majora Głuchowskiego - B.U/ i ochronę osobistą Naczelnika Państwa". Wedle innych jeszcze relacji główną rolę miał odegrać porucznik Stamirowski, który polecił zamachowcom zaczekać w jednym z pokojów na "aresztowanego" Naczelnika, a gdy tam weszli, zamknął ich na klucz. Aresztowani przez Stamirowskiego zamachowcy zostali potem jeszcze obsołaczeni przez Piłsudskiego, w końcu jednak ich wypuszczono /!/. 5 stycznia nad ranem doszło też do rozmowy Naczelnika z Januszajtisem, w wyniku której ten ostatni polecił wypuścić ministrów. Trwający 8 godzin zamach stanu został zlikwidowany. Po krótkim areszcie domowym, z okazji zwołania I Sejmu, Januszajtis i inni zamachowcy zostają przez Piłsudskiego wypuszczeni. Czy był to tylko kolejny rycerski gest Piłsudskiego, czy też kryło się w tej sprawie coś więcej? Czy prawdziwe były pogłoski, że zamach prawicowców został rozbity od wewnątrz przez biorących w nim udział członków Konwentu B? Wymieniano nazwiska podpułkownika Kukiela i majora Hellmana /też zresztą pepesowca i byłego piłsudczyka/, mówiono nawet, że sam Januszajtis należał do Konwentu i stanął na czele spisku po to, by go sparaliżować... /15/. Wersje te wydają się zbyt fantastyczne, prawdy nie dowiemy się już nigdy. Faktem jest jednak, że kolejną potyczkę wygrali znów piłsudczycy.

Endecja bierze rewanż po śmierci Narutowicza. Pakt lanckoroński łączy narodowców z chadecją i bogatym chłopstwem Witosą. Ugrupowania te, zdobywszy większość w sejmie, zaczynają tworzyć swoje rządy. Najbardziej daje się we znaki rząd "Chjeno-Piasta" z roku 1923, kiedy Witos wprowadza rządy policyjne i w wielu gałęziach podnosi czas pracy do dziesięciu godzin. Strajki obejmują 4,8 mln robotników. 5-6 listopada dochodzi do rozruchów w Krakowie /tzw. "Powstanie Krakowskie"/. Ginie kilkudziesięciu zabitych, oficjalne źródła podają cyfry 32 i 40. Ranni i zabici są także w Częstochowie, Łodzi i Bielsku. Bez przypomnienia tych faktów nie zrozumiemy tego, co stało się w maju 1926. Do tego czasu Piłsudski żyje na uboczu w Sulejówku, utrzymuje się z pisania artykułów i - jak już wspominaliśmy - jest inwigilowany na rozkaz gen. Szeptyckiego /ministra spraw wojskowych w rządzie Witosy/, zresztą nie bez wiedzy premiera.

Podczas kiedy Piłsudski mieszka w Sulejówku, w Warszawie zmienia się 13 rządów, przeważnie prawicowych. 5 maja upada koalicyjny gabinet Skrzyńskiego. Występująca z niego lewica /zwłaszcza PPS/ domaga się utworzenia rządu z Piłsudskim na czele, prawica proponuje Witosą. Prezydent Wojciechowski, który w tym czasie przesunął się już nieco na prawo, i, co nie mniej ważne, był poróżniony z Piłsudskim /"Z Piłsudskim rozmawiać nie będę, bo traktuje mnie w sposób nieprzyzwoity"/, rozpoczął pertraktacje z Witosą. Dla mas oznaczało to powrót tej samej władzy, która zmasakrowała Powstanie Krakowskie dla inteligencji - zagrożenie faszyzmem /16/. Jakby na poparcie tych obaw, Witos zaczyna wykonywać gesty "silnego człowieka" i 9 maja udziela wywiadu "Nowemu Kurierowi Polskiemu": "Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko, jeśli tak to niech bierze władzę siłą... ja bym nie wahał się tego zrobić; jeśli Piłsudski nie robi tego, to zdaje się nie ma jednak tych sił za sobą". Brzmi to jak prowokacja.

10 maja Wojciechowski powierza Witosowi powołanie nowego rządu; ten zawiera ugodę z endekami /podobno w restauracji "Pod Pachusem"/ i tworzy nowy rząd Chjeno-Piasta. Przypomina on do złudzenia rząd z 1923 r. Stronnictwa lewicowe /PPS, Wyzwolenie, Stronnictwo Chłopskie i Klub Pracy/ wydają komuni-

kat stwierdzający, że rząd Chjeno-Piasta stanowi "wyzwanie rzucone całej demokracji polskiej" i zapowiadają "bezwzględną walkę" z Witosem. Podobnie reaguje KPP, wzywając robotników do "walki o obalenie faszystowskiego rządu Witosa". W tym momencie do akcji włącza się Piłsudski. 10 maja marszałek udzieli wywiadu "Kurierowi Polskiemu", w którym oświadczy, że staje do walki "z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści". Wywiad ten ukaże się 11 maja, ale zostanie skonfiskowany przez władze. Piłsudski szykuje już wówczas demonstrację wojskową - bluff, który ma zmusić Witosa do dymisji /17 Zbiegiem okoliczności w nocy z 11 na 12 maja "nieznani sprawcy" ostrzeliwiają willę Piłsudskiego w Sulejówku.

Na temat tego ostatniego incydentu zdania są do dzisiaj podzielone. Jedni widzą w nim próbę prawicowego zamachu, inni... propagandowy wymysł lub zgola prowokację samych piłsudczyków, mającą na celu zmuszenie marszałka do działań. Tak czy inaczej była to przysłowiowa kropla, która przelała czarę. Rankiem 12 maja Piłsudski jedzie do Warszawy, aby rozmówić się z Wojciechowskim, dowiaduje się jednak, że... prezydent wyjechał do Spały. Piłsudski udaje się do koszar w Rembertowie, gdzie zebrały się wierne mu oddziały i wydaje rozkaz marszu na Warszawę. Do miasta jednak nie wchodzi. Jeszcze liczy na pokojowe rozwiązanie konfliktu, może także na dawną przyjaźń z Wojciechowskim.

O godz. 16,30 odbywa się na moście Poniatowskiego spotkanie Piłsudskiego z Wojciechowskim. Jak przebiegała ta rozmowa nie wiadomo, gdyż zasadnicza jej część toczyła się w cztery oczy /wiadomości tzw. "świadków" nie są wiarygodne/. Prawdopodobnie Piłsudski nie tylko zażądał ustąpienia gabinetu Witosa, lecz także postawił ultimatum, że dymisja ta ma nastąpić do godz. 19 /18/. To tłumaczyłoby późniejsze dziwne postępowanie Piłsudskiego, który - po rozmowie z Wojciechowskim - pojechał do kwatery na Pradze i... położył się na kanapce. Potem gawędził z oficerami o walkach Dowborczyków i możliwościach wojny z Niemcami. Odpoczywał, pił herbatę,

lecz... nie działał. Jego żołnierze otrzymali za-
kaz rozpoczynania ognia.

Kiedy usłyszał strzały, miał podobno zblednąć i
powiedzieć: "A jednak, rozpoczęło się. Myślałem, że
do tego nie dojdzie".

Dla pełniejszego obrazu trzeba w tym miejscu
wspomnieć, że w tym samym czasie u marszałka Sejmu,
Rataja, odbywała się narada posłów lewicy. Po na-
radzie, około 18-tej, kilku jej uczestników z Nie-
działkowskim i Markiem na czele zgłasza się do Woj-
ciechowskiego na spotkanie. Wiedząc, że lewicowcy
popierają akcję Piłsudskiego, Wojciechowski kazał
oświadczyć im, że "nie ma czasu". Nieprzyjęci pos-
łowie uchwalili krótkie oświadczenie głoszące, że
"prezydent ponosi odpowiedzialność za dalszy prze-
bieg wypadków i rozlew krwi".

Walki rozpoczęły się o godz. 18,30 - rozpoczęła
je strona rządu. Wierny Piłsudskiemu oddział ma-
jora Korkozowicza /36 p.p./ ostrzelany został przez
stojącą pod kolumną Zygmunta baterię ppor. Olchowic-
za /30 p.p/. Piłsudczycy stracili 11 zabitych i
28 rannych - były to pierwsze ofiary tego dnia. W
odpowiedzi nastąpił kontratak, który skończył się
zwycięstwem piłsudczyków. Podporucznik Olchowicz
zginął w walce, żołnierze wierni rządowi wycofali
się w głąb miasta. Większość osób cywilnych poparła
piłsudczyków, pepesowcy i komuniści utworzyli nawet
zbrojne bojówki. Po stronie rządu opowiedziała się
tylko grupa faszystów, którzy walczyli w rejonie ul.
Senatorskiej. Drugi oddział faszystów bronił przed
zamachowcami lotniska. Stało się to potem preteks-
tem do zamknięcia przez Piłsudskiego ich organu -
"Faszysty Polskiego".

Mimo przewagi /3,5 tys. żołnierzy przeciwko 1,7
tys./ Piłsudski nie kontynuuje działań; wciąż jesz-
cze liczy na mediacje. Około 9 wieczór do Wojcie-
chowskiego zgłasza się osobiście Rataj - prezydent
powtórnie odmawia jakichkolwiek rozmów. Żegnając
Rataja dodaje obraźliwie: "mam nadzieję, że nie pow-
tórzy Pan Piłsudskiemu, co tu widział".

W nocy z 12 na 13 maja Piłsudski złożył oświad-
czenie dla prasy. Warto je zacytować ze względu na
argumentację: "Nie mogę długo mówić, jestem b.zmę-
czony zarówno fizycznie jak i moralnie, gdyż będąc

przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się, po ciężkiej walce z samym sobą, na próbę się ze wzystkimi konsekwencjami. Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowią inponderabilia - jak honor, cnota, męstwo i w ogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne czy najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie - gdy nie chce ono iść ku zgubie - za dużo nieprawości".

Tej samej nocy, z 12 na 13 siły rządowe próbują nagłego ataku, z którego nic nie wychodzi. Oddziały Piłsudskiego przechwyciły rozkaz gen. Rozwadowskiego /mianowanego przez rząd dowódcą obrony/ wydany o godz. 3,10. Polecał on natrzeć na "centrum miasta, plac Saski, Komendę" i - co niezwykle ważne: "starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu nie oszczędzając ich życia". Był to właściwie rozkaz zabicia Piłsudskiego... Drugim ważnym rozkazem Rozwadowskiego był rozkaz bombardowania miasta. Podobno bomby na Komendę Miasta /siedziba Piłsudskiego/ miał rzucić osobiście znany nam już gen. Zagórski. Spowodowały one straty głównie wśród ludności cywilnej.

13 maja będą miały miejsce jeszcze dwie próby mediacji ze strony Piłsudskiego. Więc najpierw gen. Żeligowski jako najstarszy wiekiem oficer, uda się - bezskutecznie - do Wojciechowskiego, potem Piłsudski użyje jeszcze konserwatystów /Mackiewicza, Lubomirskiego i Meysztowicza/, prosząc by pośredniczyli w zawieszeniu broni. Przyczyną niechęci Wojciechowskiego do rokowań była chyba zbyt duża pewność siebie Rozwadowskiego i paru wrogich Piłsudskiemu wojskowych - po nadejściu posiłków z Poznania strona rządowa rozpoczęła /13.V. po południu/ atak, zdobywając koszary pułku szwoleżerów i gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych. Ostatnia z tych akcji miała przebieg niezwykle dramatyczny, gdyż piłsudczycy ponownie otrzymali zakaz rozpoczynania ognia i byli niemal rozstrzelani z bliskiej odległości /19/. Zajęcie Ministerstwa było jednak ostatnim sukcesem strony rządowej.

13 maja Związek Zawodowy Kolejarzy ogłosił strajk, który uniemożliwił rządowi ściąganie dalszych posiłków. Polska Partia Socjalistyczna także ogłasza strajk dla poparcia wojsk Piłsudskiego: "bohaterstwo walczących przeciw rządowi hańby narodowej"; KPP-owski "Czerwony Sztandar" nawołuje do poparcia przewrotu "z bronią w ręku" i ostrzega, że zwycięstwo "Chjeno-Piasta" pociągnie za sobą "zmasakrowanie ruchu robotniczego". Tysięczne tłumy wylegają na ulicę, próbują włączyć się do walki po stronie piłsudczyków. Stąd duża ilość zabitych pośród osób cywilnych.

14 maja przybywa z Wilna do Warszawy witana entuzjastycznie przez ludność I Dywizja Legionowa Rydza-Smigłego. To ostatecznie przechyla szalę zwycięstwa na rzecz Piłsudskiego. O godz. 13 zajęte zostaje Ministerstwo Spraw Wojskowych, o 17,00 Belweder. O 17,30 w Wilanowie, zgodnie z 40 paragrafem Konstytucji, Wojciechowski zrzeka się władzy na rzecz Rataja. Ten wzywa dowódców rządowych do zaprzestania działań i mianuje marszałka Piłsudskiego ministrem spraw wojskowych. Jest to jak gdyby pierwszy akt sankcjonowania zamachu. Akt drugi będzie miał miejsce 31 maja, kiedy to Sejm, w tym samym - p r z e d z a m a c h o w y m - składzie, wybierze Piłsudskiego na prezydenta R.P. Na wieść o wynikach wyborów odbędą się w Warszawie triumfalne manifestacje. Piłsudski jednak wyboru tego nie przyjmie.

Zamach majowy był najtragiczniejszym wydarzeniem w dziejach II Rzeczypospolitej. Straty wyniosły 194 wojskowych i 136 zabitych spośród ludności cywilnej; do tego kilkuset rannych. W wymiarze kulturowym był to konflikt moralności i prawa. Piłsudski zawiązał coś w rodzaju konfederacji. Broniąc zasad moralnych, występując przeciwko dyktaturze partii i rzeczywistym nadużyciom politycznym i gospodarczym Piłsudski podeptał prawo, zmusił swoich żołnierzy do złamania przysięgi. Broniąc prawa strona rządowa wydała rozkaz rozpoczęcia bratobójczej walki.

Piłsudski, mimo że miał za sobą poparcie społeczeństwa, przeżywał ogromny dramat, zmienił się

wręcz fizycznie. Marszałkowa Piłsudska, która nie widziała go w ciągu tych trzech dni, tak opisywała spotkanie z mężem po zamachu: "Byłam przerażona jego wyglądem. W ciągu tych trzech dni postarzał się o dziesięć lat. Wyglądał tak jakby stracił połowę ciała, twarz była pergaminowo blada i dziwnie przezroczysta, jak gdyby oświetlone od wewnątrz. Oczy zapadły głęboko od zmęczenia. Tylko raz jeszcze widziałam męża w podobnym stanie - było to na kilka godzin przed śmiercią... Te trzy dni wycisnęły na nim bezlitosne piętno do końca życia. Nie odzyskał już swego poprzedniego spokoju ani panowania nad sobą. Zdawało się, że jakiś wielki ciężar przegniata mu barki...". Dopełnieniem prawdy tych słów jest zakończenie cytowanego już rozkazu, jaki po zwycięskim zamachu wydał Piłsudski - 22 maja - do wojska: "Niech Bóg nad grzechami litościowy nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my staniemy do naszej pracy, które ziemię naszą wzmacnia i odra-
dza".

Bohdan Urbankowski

/Dokończenie w następnym numerze/

15. W pisanych po latach, drukowanych w londyńskiej prasie wspomnieniach Januszajtis twierdzi, że zamach w ogóle nie był wymierzony przeciwko Piłsudskiemu, tylko przeciw lewicowemu rządowi. Major Kukiel miał otrzymać od niego "rozkaz ochrony i izolowania w Belwederze osoby Piłsudskiego". Wersji tej zaprzecza jednak zarówno przebieg wypadków /próba aresztowania Naczelnika Państwa/, jak i zaprzeczył sam Kukiel w polemice prasowej z Januszajtisem - zarzucając temu ostatniemu "mystyfikację". Nie została też do końca wyjaśniona rola Dymowskiego, który podobno przed zamachem miał uzyskać aprobatę samego Paderewskiego, ten jednak w ostatniej chwili wolał umyć ręce i po rozmowie z Dymowskim wyjechał do Krakowa. Ważną, chociaż zakulisową ro-

15. odegrał w tym zamachu kpt. Mieczysław Wężyk, b. oficer armii carskiej i założyciel prawicowej loży masonskiej "Kowale", w której występował pod pseudonimem generała Orskiego. "Generał Orski" był jednym z komendantów Straży Narodowej; zarówno on, jak i jego ludzie, brali udział we wcześniejszej, listopadowej próbie zamachu stanu.

16. Akurat w lutym 1926 r. ukazała się programowa broszura Witosa "Czasy i ludzie". Przywódca stronnictwa chłopskiego wypowiadał się w niej za ograniczeniem swobody wyborów, które powinny być - według niego - przeprowadzone pod kontrolą władzy administracyjnej, państwowej a nie /niezależnych - B.U/ sądów. Atakował także "sejmowładztwo" i żądał wzmocnienia władzy prezydenta, w stopniu daleko większym niż zrealizuje to konstytucja 1935 r. uchodząca w oczach opozycji za "faszyzującą".

17. O tym, iż miała to być tylko demonstracja, świadczy zarówno dobr siłą, jak i dalsze postępowanie piłsudczyków, mające wszelkie cechy improwizacji. Piłsudski dysponował cały czas tajnym aktywem rozmieszczonym tak w wojsku, jak w organizacjach cywilnych /związki, partie lewicowe/, ale wahał się przed rozpoczęciem próby siłą. Marszałek Sejmu, Rataj, wspomina w swoich "Pamiętnikach" o rozmowie z Piłsudskim odbytej 30 marca 1926 r. Piłsudski "napomyka o strajku kolejarzy jako broni, którą ma w rękę", ale oświadcza też, że na razie do strajku nie dopuszcza. Wąhanie Piłsudskiego przerwał dopiero fakt powrotu Witosa do władzy. Korzystając z tego, że gen. Żeligowski prosił go /jeszcze 18.IV/ o przeprowadzenie ćwiczeń międzygarnizowanych, uruchomił kilka najwierniejszych sobie oddziałów, m.in. 36 pułk piechoty pika Sawickiego i majora Korkozowicza oraz 1 pułk szwoleżerów Wieniawy, którym dowodzić będzie major Strzelecki. 7 pułk ułanów pika Stamirowskiego dostał rozkaz wymarszu z Mińska Mazowieckiego do Rembertowa, rzekomo dla przeprowadzenia ostrego strzelania, 22 pułk piechoty dowodzony przez pika Krok-Paszkowskiego, legionistę, uczestnika marszu kadrówki, miał przybyć z Siedlec na Pragę. Były to siły wystarczające dla przeprowadzenia demonstracji, zbyt szczupłe jednak dla wygrania wojny domowej. "Wspomnienia" Aleksan-

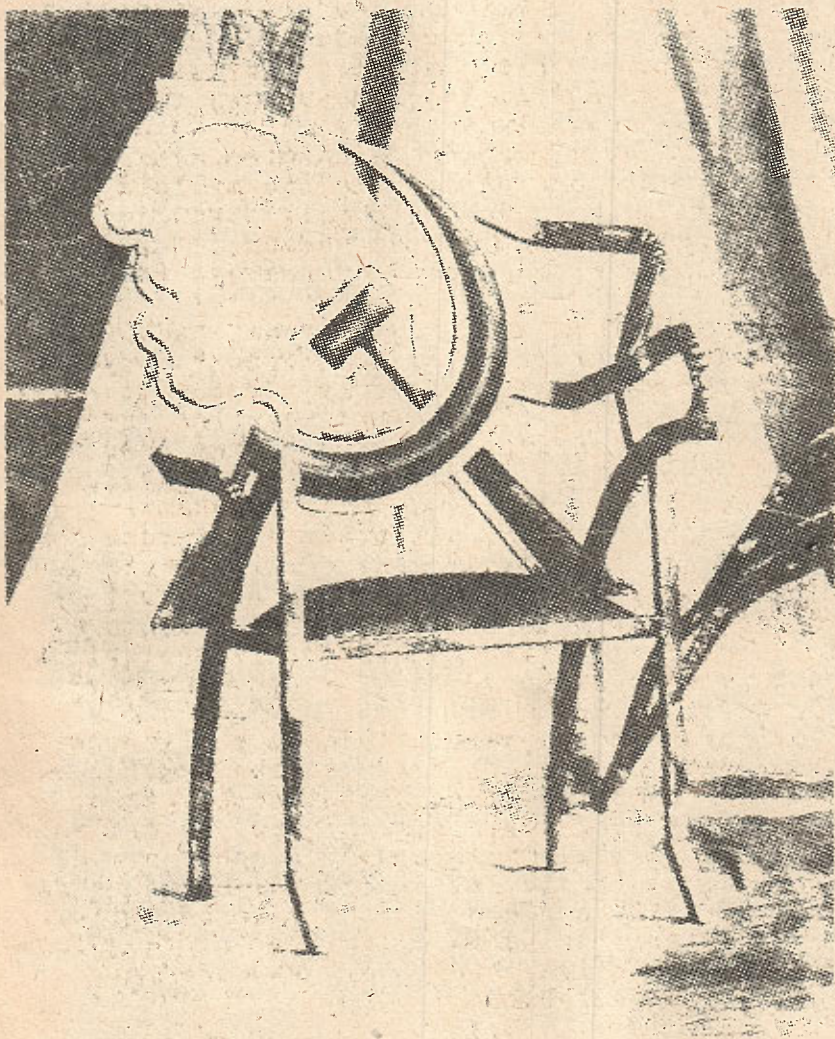
dry Piłsudskiej zdają się świadczyć o tym, że Piłsudski uważał swoją demonstrację nieomal za formalność:

"O godz. 7 rano 12 maja /Piłsudski/ wyjechał z Sulejówka do Rembertowa, zapowiadając, że będzie na obiad, tak jak zwykle o drugiej trzydziści. O pierwszej zatelefonował, że plany uległy zmianie i że miał się rozpocząć lada chwila marsz do Warszawy, wobec czego wróci dopiero wieczorem. Jeszcze wtedy ani mąż ani jego oficerowie nie myśleli o niczym innym jak tylko o demonstracji. Wbrew jego woli doszło do rozlewu krwi po strzałach, które padły ze strony oddziałów będących w dyspozycji Prezydenta".

Planowany bluff zmienił się w krwawą rzeczywistość. Piłsudski wygrał "bitwę warszawską" - był po prostu lepszym strategiem, szybciej uruchomił strukturę wojskowe /I Dyw. Legionowa/ i cywilne /strajk kolejarzy, bojówki PPS/. Tragiczny grymas losu chciał, że ta ostatnia, zwycięska bitwa w życiu Piłsudskiego, była bitwą z własnymi rodakami.

18. Postawienie takiego ultimatum potwierdza wydane w czwartek, 13 maja 1926 r. "Oświadczenie Komendy Miasta o sytuacji": "Marszałek Piłsudski oczekiwał dobrowolnej kapitulacji rządu p. Witosa w środę do g. 7-ej. Skoro jednak to nie nastąpiło, natomiast wypowiedziano mu walkę - był zmuszony wkroczyć do Warszawy".

19. Potwierdza to wypowiedź jednego z oficerów odnotowana przez Wandę Melcer-Rutkowską w książce "Walki w Warszawie": "wydany był stanowczy zakaz rozpoczynania ognia. Musielismy czekać, aż oni zaczęli strzelać. Widzieliśmy żołnierzy rządowych, jak pełzli ku nam po trawie, widzieliśmy jak nataczali maszynowe karabiny i nie wolno nam było strzelać, żeby im przeszkodzić. Potem ogień był już tak bliski, że zmuszeni byliśmy bronić się rewolwerami, walcząc pierś w pierś".



WHO IS WHO IN LEKTYKA

JUPP

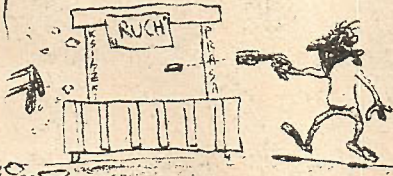


JUPP WROZUJIL SIE W RODZINIE...

... AKTYWNE WEZLOZE SIE W DZIAŁALNOŚĆ TRZY "KOMANDOSÓW"



... SIE SYPATYKIEM NIE LEGALNEJ ORGANIZACJI O ZABARWIENIU TERRORYSTYCZNYM POD NAZWĄ "RUCH"



W MIEZKANIU W.W. WIELOKROTNE ORGANIZOWANE BYLY SAKTRANIA DYSKUSYJNE, W TRAKCIE KTORYCH PODJEJMO WANO SZEREG DECYZJI O CHARAKTERZE ANTYSOCJALISTYCZNYM.

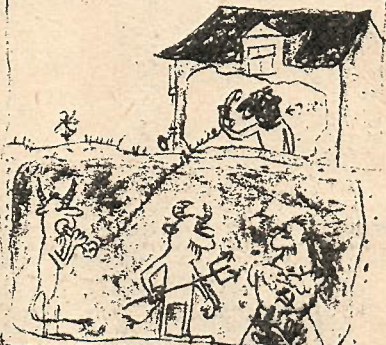


JUPP →

IPARNOŚC



POZOSTAJĄC W ŚCISŁYM UKRYCIU JUPP ZAKTYWIZOWAŁ SWOJĄ DZIAŁALNOŚĆ OPUBTYCZNIŁ... WYKAZAŁ SIĘ JAKO DO TEGO CELU SWOIM ENERGIJĄ



W OSTATNIM OKRESIE W.W. PRZEJĄŁ PUNKTĘ KORDYNACORA I PROGRAMOWA TORĄ DZIAŁALNOŚCI OPUBTYCZNIŁ I WZYMĄCĄ KONTRAST Z PODZIAŁEM

WHO ©
IS
WHO ?

TEKST: INSPATOR W.W.OW
PDR. ANTONI KOWALSKI
RYS.: ZBIREKAS

SPIS RZECZY

W I E Ł O K A T : ECCE ECCLESIA	1
W DUCHU I W PRAWDZIE	1
O AKCEPTACJĘ CAŁOŚCI	5
CZY WIERNA ?	8
KOŚCIÓŁ PARADOKSÓW	11
W STRONĘ JASNOŚCI	16
"PRZEŚWIT" ROZMAWIA Z JERZYM KROPIWNICKIM	20
Peter Bender	
W UŚCISKU SUPERMOCARSTW	35
Gabriella Turnaturi	
NIE TYLKO DLA SIEBIE	49
Bohdan Urbankowski	
ČŁOWIEK POŚRÓD LEGEND	52
/Kontynuacja/	

Serdecznie dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do wydanie tego numeru - Autorom, współpracownikom, Przyjaciółom.

Dziękujemy i potwierdzamy:

TOM - 1,5 Demokrata - 1,5 MH - 1,6 Wojtek - 0,88+0,79

Numer zamknięto w czerwcu 1987 roku.



Cena z! 200

